

# ARKOŃA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY KULTURZE I SZTUCE

NR 1-2

BYDGOSZCZ — STYCZEŃ-LUTY

ROK 1947

Marian Turwid

## LATARNIE W MROKACH

Spójrzmy na mapę naszej ojczyzny. Spójrzmy na nią jednak nie oczami polityka czy ekonomisty, ale — pracownika kultury. Ściślej: kultury artystycznej. Wobraźmy sobie obszar naszego kraju pogrążony w mrokach nocy. Pogrążony w ciemnościach wszędzie tam, gdzie nie jarzą się światła środowisk kulturotwórczych. Przyjmijmy, że środowiska te — to latarnie, światłem swym rozpraszające mroki. I zapytajmy o dwie jakże bardzo ważne sprawy: ile jest mianowicie tych latarni i — jakie ich rozmieszczenie?

Ile ich jest? Niestety — mało. Bardzo nawet mało, gdy idzie o latarnie najpełniej świecące. Właściwie tylko dwie lub trzy: Kraków, Warszawa — może i Łódź. Po tem — jeszcze tylko kilka latarni mniejszej kategorii, jak np. Lublin, Poznań czy Katowice, kilka takich, które się dopiero zaczynają rozżarzać: jak Wrocław czy Bydgoszcz, Toruń czy Gdańsk... i to już niemal wszystko. Ogromna większość — to lampki małe i najmniejsze, albo i lżezywa zgoła czy kaganki — rozmieszone zrzadka i tylko z najwyższym, rzec można — bohaterskim wysiłkiem znaczące ślad swego istnienia na obszarach gęstej, nieprzeniknionej nocy. Acz tak — zdawałoby się — bezsilne wobec oceanów czerni, przecież i te chociażby i najniklejsze światła — mają swoją ważną do spełnienia rolę. Rolę gwiazd w nocy. Nie rozświetlających wprawdzie w pełni drogi, ale — umożliwiających pewne, najogólniejsze chociażby orientowanie się w terenie

Wróćmy jednak spojrzeniem do latarni, które stanowią nie tylko świetlne punkty orientacyjne — ale które w mniej lub więcej szerokim kręgu zdolne są do skutecznego rozpraszania cieniów. Jakież jest ich rozmieszczenie ze stanowiska racjonalnego oświet-

lenia ściśle granicami określonej przestrzeni? Zupełnie niewłaściwe. Bo latarnię największą, najpełniejszą jarzącą się blaskiem znajdziemy nie w miejscu najodpowiedniejszym, a więc centralnym, ale gdzieś na uboczu, zdala od krzyżujących się traktów, na południowych krańcach Polski. Korzystniej nieco od Krakowa umiejscowiona Warszawa — bezpośrednim światłem obsługuje raczej wschodnie pacyce kraju. W miejscu niemal idealnym znajdująca się Łódź dysponuje dopiero trzecią z rzędu siłą blasku. A od Łodzi aż ku granicom zachodnim znajdziemy już tylko światła pomniejszej intensywności. Od Warszawy zaś na północ — nieprzeniknionym ciemnościom niezdolny jest

przeciwstawić się na dorobku dopiero będący dzielny — Olsztyn.

Ujmijmy sprawę krótko: W nowych granicach nowej Polski — rozmieszczenie światła jest najzupełniej nieodpowiednie. Jak na potrzeby terenu jest liczba dużych ognisk kultury artystycznej nieproporcjonalnie mała. I niedopuszczalny jest taki stan rzeczy, aby te nieliczne, które są, skupiały się tylko w jednej połaci kraju. Aby jeden odcinek terenu kapał się w blaskach i łaskach, a pozostałe tonęły w ciemnościach. By do żyrandoli rozżarzonych tysiącami watów dodawano coraz to więcej żarówek, nie wiele dbając o dzielnicę pozostałą. Cóż tamte? — Ciemnogrody! Niech pozostają w ciemnościach! Któżby tam dbał o — upośledzonych. Przywileje należą się — uprzywilejowanym. Mniejsza zaś o środowiska upośledzone. I cóż stąd, że jest ich tak wiele. I cóż stąd, że łączna liczba uprzywilejowanych mieszkańców trzech największych środowisk w kraju

nie dochodzi nawet do skromnej cyfry półtora miliona, podczas gdy Polska liczy sobie przecież dwadzieścia cztery miliony ludności.

Taki stan rzeczy, nie przez nasze zresztą pokolenie zawiniony — musi ulec przeobrażeniu. Bo inaczej — sytuacja prezentowałaby się jak ongi: kilka „jaśnie oświeconych“, rozżarzonych światłem dworów — a wokół, w ogromnych kręgach czerni chałup skąpo owietlanych — żużywem, czworaki w beznadziejnej zatopione pomroce...

Rzucono u progu nowej, ludowej Polski tyle pięknych słów. Słów szlachetnych i sprawiedliwych. Zapewniających, że w odrodzonej ojczyźnie każdy będzie miał prawo do sztuki, tak — jak każdy ma prawo do chleba. Że nie będzie już więcej uprzywilejowanych i pokrzywdzonych. Ani jednostek, ani środowisk.

Na początku było dobre słowo. Czy stało się ciałem, czy też umarło frazesem? A przecież znaczna była liczba tych, którzy pierwszemu słowu zawierzyli, których ono zapaliło entuzjazmem i poderwało do najofiarniejszej pracy —

Z PIERWSZEJ WYSTAWY PLASTYKÓW POMORSKICH  
NA ZAMKU OLSZTYŃSKIM



STANISŁAW BRZĘCZKOWSKI  
KWIDZYN AUTOOFFSET Z TEKI „WIELKIE POMORZE“

wszystko jedno, w Krakowie czy Słupsku, w Poznaniu czy Olsztynie, w Szczecinie czy Białymstoku. O tych to entuzjastach myślał zapewne Leon Kruczkowski, gdy stając w obronie Ministerstwa Kultury i Sztuki, ujął się za jego skromnymi i najskromniejszymi pracownikami. „Ludzie (to) najofiarniej nieraz pracujący dostojnie za grosze! Ludzie, z których nie jeden znacznie więcej zdziałał i działa dla kultury polskiej, niż ten czy ów ze statych bywalców łódzkiego „Klubu Pickwicka”.\*) Nie mam nic przeciwko stałym bywalcom takiego czy innego klubu literackiego. Oby ich było jak najwięcej. Sam dumny jestem z tego, że klub, do którego należą, poszczycić się może pięćdziesięcioma z górą „środami” literackimi, skupiającymi przeciętnie do pięciuset słuchaczy. I to w środowisku raczej upośledzonym. Borykającym się gdzieś na uboczu. W oddaleniu od wielkich ognisk kulturalnych. W takim środowisku fakt, że wiceminister kultury i sztuki stawać musi w obronie być albo nie być swego resortu — naprawdę lekkim o wiele większym, niż w ośrodkach uprzywilejowanych. Boć resort ten to jedyny nieomal sojusznik ośrodków choćby i najmniejszych. Prawda, że sukces ten nie był dotąd nazbyt duży. Ale sam fakt, że znalazł się czynnik, który — nareszcie — te najskromniejsze wysiłki dostrzegł, że ich nie odrzucał, nie wyszydzał, z wielkopolską nie zlekceważył, ale przeciwnie, że podkreślił ich rolę w wielkim wspólnym dziele dźwignięcia kultury artystycznej całej polski, sam ten taki miały już niezmiernie doniosłe znaczenie. Podkreślono go, między innymi, powołaniem do życia powiatowych referatów kultury i sztuki. Być może, że był to gest już aż nazbyt nojny jak na skromne polskie możliwości. I nie da się zaprzeczyć, że w szeregu tych praców znalazł się pewien, może i dość znaczny, procent pracowników nieupowiadanych, nie przygotowanych do tej nowej i pięknej, ale i trudnej roli. Bywali podobnie referenci, którzy „zemię” nakazywali uprawiać z aizsa, ponieważ autorem jej był — młoda. Sami znając takiego naczelnika wydziału, który van Gogha nie odróżniał od Van Dycka. Ale wypadki takie były przecież nieuniknione. „Ministerstwo Kultury i Sztuki nie odżyczyło — jak inne ministerstwa ani osób, ani form organizacyjnych, ani najskromniejszej budaj katury ludzkiej. Już jednak po obu zaletach iatach jakaz poważna nastąpiła zmiana. Uopłynęły wszelkiego rodzaju delegaty, kombinatory, szarowanki i niebieskie placki, a pozostali entuzjastki i pionierzy: „ludzie najofiarniej pracujący dostojnie za grosze”. Szkoda, że brak miejsca nie pozwala mi na zaprezentowanie, ciał przykadu, kilku choćby z tych zapoznanych a guanych podziwu latarników. Puczekajmy zresztą na dalsze, coraz to cenniejsze wyniki ich pracy. Jak również i z oceną działalności całego resortu Kultury i Sztuki należało by także jeszcze nieco poczekać. Coż bowiem w życiu tego rodzaju ministerstwa znaczny okres dwu lat. Nie upoważnia on do zadnych sądów. Okres — dwudziestu dopiero lat pozwoli być może, na zarzykowanie stwierdzenia czy Ministerstwo Kultury i Sztuki spełniło swoje zadania. A zadania ma do spełnienia ogromne i różnorodne. Jednym z najważniejszych — to właśnie należyte rozmieszczenie światła wśród polskich ciem. By nie było uprzywilejowanych i upośledzonych. By światła w Szczecinie były równie sunie jak światła w Krakowie. By Olsztyn nie był „światłem zabnym deskami”, a Bydgoszcz by nie musiała np. czekać już nazbyt dugo na obiecaną jej wystawę objazdową arcydzieł plastyki polskiej. Gdy bowiem ogromna większość ludności polskiej nie ma możności korzystania ze skarbowo naszych centralnych muzeów czy galerii, to muzea te i galerie muszą się potatygotwać do niej. Trudno! — takie czasy. Czasy wyrównywania krzywd. A czyż nie jest krzywdą tak, że miliony oczu polskich nie oglądały dotąd na własne oczy ani Matejków, ani Michałowskich, ani Pankiewiczów! Nie to nie zaszkodzi szacownym piotnom naszym najdosłojniejszych majstrów, gdy sobie powiszą trocne w Grudziądzu, w Sosnowcu czy w Gnieźnie. Już się o to postarają referenci powiatowi by się arcydziełom w trakcie ich peregrynacji zauna krzywdą nie przytrafiła. — Choć — niestety — nie wszyscy referenci. Bo już za kilka tygodni znaczna ich część opuścił będzie miastka swe posterunki z przyczyn — oszczędnościowych. Siuzna to rzecz — oszczędzanie ale nie kosztem placówek najmniejszych i kosztom tych, którzy na uboczu, w osamotnieniu, w ofiarnym wysiłku zmagali się z mrokami „ciemnogrodu”.

Bowiem zgasić latarnie — potrafi każdy, ale zapalić ją, tak aby jaśniej się uczyniło w chałupie, w miasteczku, w każdym powiecie i w całej Polsce — to zadanie niejednokrotnie bardzo trudne i w pełni zasługujące na najwydatniejszą pomoc.

Marian Turwid

\*) Kuźnica nr 77.

Marian Tyrowicz

## POMORZE I REWOLUCJA 1846 R.

### I.

Dziwnym milczeniem pominęła współczesna publicystyka nasza, a zwłaszcza wielkopolska i pomorska stulecie rewolucyjnego wstrząsu 1846 r. na północnych obszarach Polski porzobiorowej. Jubileusz nieudalego powstania, którego doniosłość zawarła się w dwu słowach „rewolucja społeczna” — wzbudził na dobre zainteresowanie nie tyle historyków, co publicystów i teoretyków ruchów społecznych, badaczy źródeł demokracji i rewolucji, rozpętał nawet w niektórych organach politycznych zawziętą dyskusję na temat Szezi i Dembowskiego, rabacji i emancypacji ludu. Pokłosie jubileuszowe prasy, jej ideologicznych stanowisk, nasświetleń i ujęć — stanowić będzie kiedyś ciekawy obraz poglądów dzisiejszych na zagadnienie przeszłości, dodajmy — zagadnienie o przelomowym i wręcz pierwszoplanowym znaczeniu dla całości naszego rozwoju politycznego na przestrzeni XIX stulecia. Zamierzona i w niewielkich fragmentach praktycznie zrealizowana rewolucja 1846 r. była istotnie zjawiskiem z dziedziny ruchów socjalnych, acz jej nierozłączne sprzężenie z aspiracją niepodległościową, z ofiarnym porwaniem się do walki wyzwoleniczej wśród najmniej sprzyjających okoliczności — sugerowało i do dziś wielu jeszcze ludziom sugeruje przekonanie o identyczności porwy tego z innymi powstaniami polskimi od czasów Kościuszki do Traugutta. Tymczasem ruch rewolucyjny 1846 r. miał gruntownie odmienne oblicze i inne źródła klęski; to też zagał tak nadspodziewanie szybko, jak płomień podsycony gwałtownym wichrem i zamierający od razu, gdy wichur przeminie.

Rola Pomorza w rewolucji przedstuletniej — trzeba to stwierdzić — nie dorównywała pod względem faktycznego udziału obszarom centralnej Polski, gdzie skupienia propagandy rewolucyjnej, przygotowań wojskowo-administracyjnych i materialnych mobilizowały potencjał wyższy i żywszy. Nie mniej jednak rola tego obszaru miała w ogólnym planie ruchu swą doniosłość własną, znaczenie wielkie i w pewnym zakresie nawet podstawowe.

To też łańcuch wydarzeń na tym obszarze w momencie wybuchu powstania, jak też w co najmniej kululetnim okresie przygotowawczym do niego — nie tylko zasługują na poznanie, ale wręcz domaga się dokładniejszego zbadania i określenia historiograficznego. Zaniedbanie naszej historii najnowszej na tym odcinku jest szczególnie uderzające i niestety niełatwe już dziś do odrobienia. Historiografia polska, która na innych odcinkach poczyniła w okresie XX stulecia, a szczególnie w Polsce odrodzonej, postępy bardzo widoczne — na polu zbadania rozwoju narodowościowego i społecznego polskiego Pomorza w XIX w. — nie wykazała należytej inicjatywy i planowości mimo istnienia w bezpośrednim pobliżu Instytutu Bałtyckiego i towarzystw historycznych w Gdańsku i Toruniu, a w dalszym zasięgu uniwersytetów poznańskiego i warszawskiego. Precyzujemy ten zarzut wyraźnie w odniesieniu do okresu przelomu ideowego między Kongresem Wiedeńskim a zjednoczeniem Niemiec za Bismarcka. Rezultaty tego zaniedbania dają znać o sobie przy każdej dzisiejszej najbardziej nawet rzetelnej próbie ja-

kiegokolwiek syntetycznego opracowania najnowszych dziejów Pomorza Zachodniego czy Prus Wschodnich. Dla ścisłości stwierdzić trzeba, że i historiografia niemiecka, która z szczególnym zamiłowaniem i niezbyt skrywanym podkreśleniem pruskiej racji stanu wzbogacała wiedzę o odległej przedhistorycznej, następnie średniowiecznej i wczesno-nowożytniej erze Pomorza, do historii tegoż w ostatnim stuleciu brała się z zrozumiałych względów niechętnie i z wielką ostrożnością, nie chcąc nam wyświadczyć mimowolnej a niedającej się uniknąć usługi.

W tym stanie rzeczy — jeden z najciekawszych momentów obudzenia się świadomości narodowej i krystalizowania form społecznych polskości tuż przed Wiosną Ludów w ówczesnych Prusach Zachodnich — ucierniał najdotkliwiej. Zniszczenie archiwów zarówno tamtejszych (a więc gdańskiego i poznańskiego), jak i odleglejszych a równie ważnych (królewieckiego i berlińskiego), które przechowywały materiały do polityki pruskiej w sprawie polskiej, dowody dokumentarne z jednej strony ucisku, z drugiej groźnego dla niemieczyzny budzenia się narodu — ograniczają niezwykłe nasza zdolność poznawczą przy rekonstrukcji tej tak niezbyt odległej epoki. Cała troskliwość i zapobiegliwość naszych historyków, archiwistów i bibliotekarzy, jeśli chodzi o podniesienie wiedzy na tym odcinku — musi się zwrócić ku odszukaniu, opracowaniu naukowemu i ogłoszeniu — rękopiśmiennej spuścizny prywatnej w formie pamiętników, listów, prasy ówczesnej i wszelkiego rodzaju materiałów, które mogły się przechować w posiadaniu prywatnym.

### II.

Rola Prus Zachodnich w ogólnym planie powstańczym Ludwika Mierosławskiego wagą swą niczym nie różniła się od zadania, wyznaczonego W. Ks. Poznańskiemu i Galicji z tzw. Republiką Krakowską, do pewnego stopnia zaś przewyższała Śląsk, jako rola bazy wypadowej o dalszym promieniu zasięgu. W koncepcji strategicznej Mierosławskiego, przyjętej przez Centralizację Towarzystwa Demokratycznego Polskiego — Poznańskie i Prusy Zachodnie wysuwały się bezwzględnie na czoło, koncepcja ta bowiem długo przygotowywana na emigracji, brała pod uwagę Królestwo Kongresowe jako główny teatr wojny, mający się następnie rozprzestrzenić na obszary Litwy i Rusi czyli tzw. Ziemię Zabraną. Z drugiej strony kierownictwo powstania musiało się liczyć również i z tym, że i z wojskami pruskimi przyjdzie stoczyć zacięty bój. Stanowiska, zajętego przez Mierosławskiego na berlińskim procesie-monstre z 1847 r., które przejęła za nim przeważna część historiografii, że wojnie z carałem towarzyszyć będzie zwycięwa a conajmniej neutralna postawa Prus i Austrii — nie należy przyjmować pozytywnie; był to chwyt obrończy wielkiego rewolucjonisty, który dialektyką operował nieraz o wiele sprytniej, niż oddziałami bojowymi. Okoliczności zdawały się wprawdzie przemawiać za realnością tych kalkulacji, ale było im bardzo daleko do tego, co przyniosła ze sobą dopiero Wiosna Ludów. Kierownictwo ruchu musiało się liczyć z tym, że rząd berliński, jak i wiedeński — zajmą wobec powstania,

zwłaszcza niepewnej jego fazy początkowej — stanowisko wrogie. Tym ważniejsze było zadanie Prus Zachodnich. Miały one wyciągnąć dwa zbrojne ramiona: jedno przez Prusy Wschodnie ku Litwie, drugie przez kraj nad Drwęcą ku Królestwu, przy czym to drugie ramie stanowiło szlak o pierwszorzędym znaczeniu. Tak zarysował rolę obszaru pomorskiego wódz naczelny powstania na naradach Rządu Rewolucyjnego, odbytych w Krakowie. Decyzje te były wynikiem szeregu zakonspirowanych konferencji w Poznaniu, na których rozdzielono role i udzielono niemal ostatnich rozkazów.

W szczegółowych planach Mierosławskiego leżało ujęcie w własne ręce centralnego odcinka frontu, zwróconego ku Królestwu między Sremem (na południe od Poznania) a Szubinem (na połudn.-zach. od Bydgoszczy): aby mógł skutecznie skupić tu siły do natarcia, a więc ściągnąć je z rozrzuconych rejonów zbórnych — wykonane miały być uderzenia dywersyjne na Pile (na samym pograniczu Księstwa i Prus Zachodnich), na Bydgoszcz i Gniezno. Odwróciłyby one uwagę wojsk pruskich zarówno od odcinka środkowego, jak równoczesnej koncentracji zaciągów na Pomorzu, w horach tucholskich, które po podprowadzeniu ku Drwęcy ruszyłyby na Królestwo (wschodnio-pruska koncentracja planowana była aż koło Elku między jeziorami Śniardwami i Wigrami.). Dla powodzenia tej sprawy nieodzowne było przygotowanie odpowiednio obszaru kaszubskiego i opanowanie węzłowych punktów dróg: Chełmna i Torunia. Po wkroczeniu do Kongresówki miał być kontynuowany marsz aż do Koła nad Wartą, do której znowuż od zachodu — aż do Koni — dotrzeć miały oddziały Mierosławskiego. W ten sposób ramie zachodnio-pruskie było skombinowane w strategii powstańczej z ramieniem wielkopolskim. W razie ponownego przeprowadzenia tej operacji wybiec miało ramie wschodnio-pruskie aż do Gabina nad Pisy (dopływem Pregoly) a więc daleko na wschód dla zaatakowania Żmudzi i kowieńszczyzny. W razie niepowodzenia zaś tych ruchów — przewidziane były działania inne: w każdym razie zaciągi zachodnio-pruskie dobić się miały za wszelką cenę w Płockie.

Jak widać z powyższego planu nacisk w udziale ówczesnych Prus Zachodnich w powstaniu spoczywał głównie na powiatach, graniczących z Księstwem i z Królestwem Polskim. Samo pobraże Bałtyku nie było brane pod uwagę przez czynniki rewolucyjne. Wynika z tego, że na udział mocarstw zachodnich, które by od morza mogły wesprzeć powstanie — nie liczone zupełnie. Tkwiła w tym główna różnica z planem wojny w r. 1848., kiedy Bałtyk był kilkakrotnie wymieniany w korespondencji dyplomatycznej mocarstw, a także stanowił naturalny, choć przedwcześnie nie wyolbrzymiany czynnik w rachubach wojennych polskich szczególnie Hotelu Lambert w Paryżu.

### III.

Jakie były antecedencje w organizacji ruchu rewolucyjnego na Pomorzu, skoro plany zarysowane tuż przed wybuchem szły tak daleko?

Odpowiedź na to pytanie wymaga cofnięcia się wstecz do początku lat 1840-tych. Wtedy to pierwszy emisariusz Centralizacji — Walerian Breański — zawiązał wstępny dla całej organizacji spiskowej zaboru pruskiego komitet w Poznaniu, z Libeltem na czele i wtedy już Prusy Zachodnie otrzymały w nim swe przedstawicielstwo. Ro-

zumiano więc od początku doniosłość tego regionu. Tu też zaczęła napływać w kilkakrotnie powtarzających się falach nielegalnej imigracji młodzież, zbiegająca z zaboru rosyjskiego przed branką poborową i przed represjami wskutek udziału w tamtejszej konspiracji. Ze znanej z rejestracji administracji pruskiej ogólnej cyfry tych zbiegów, przekraczającej 32000 osób — dwory i miasta zachodnio-pruskie pochłonęły element bardzo znaczny. Studenci chełmińscy przygarnęli między innymi Andrzeja Fredre (później działającego w Wrocławiu) i Chachulskiego organizującego niebawem obwód Świecica. Sprzyjał tej infiltracji ruchliwego i podatnego do działań podziemnych żywiołu fakt wygaśnięcia w roku 1842 konwencji prusko-rosyjskiej, dotyczącej wzajemnej ekstradycji zbiegów politycznych i innych.

Na to podatne podłoże padły pierwsze iskry. Poczucie narodowe na tutejszym obszarze, zachwiane poważnie przez koligacje szlachty polskiej z niemiecką — obudziło dopiero powstanie listopadowe i skutki systemu administracyjnego, prowadzonego przez Flottwella w Wielkopolsce. Im bliżej połowy XIX w., tym silniej ono rosło: dotąd zaś jak stwierdza ks. Alfons Mańkowski, prawie jedyny historiograf nowszych czasów Pomorza — „ciążenie ku niemieczyźnie było tak silne i tak powszechne, że nie było prawie rodziny szlacheckiej i ziemieńskiej na Pomorzu, która by się nie posługiwała językiem niemieckim jako potocznym nawet w domowym życiu“. Bardziej polski charakter utrzymały miasta mimo napływu groźnego inteligencji i kupiectwa niemieckiego; jak na wsi podtrzymywało polskość chłopstwo, bo „prosty lud chłopski nie tracił ani języka ani wiary“ (ks. Mańkowski), tak w miastach czerpała ona swą siłę trwania w elemencie rzemieślniczym, drobno-kupieckim, w proletariacie robotniczym, młodzieży studiującej.

Właśnie czynnikiem, ruchliwie przenoszącym idee i związki organizacji narodowej z różnych stron Polski i przeciwstawiającym się świadomie i energicznie germanizacji — byli akademicy, nieustannie krążący między Królestwem a Wrocławiem i spinający niemi sieci spiskowej odległe od siebie centra ruchu.

To były te elementy, na które mógł liczyć ruch rewolucyjny, przenikający tu z Wielkopolski i z Królestwa. W ruchu tym dźwięczały silnie hasła demokratyczne, a charakter społeczny przewrotu, tak widocznie zarysowujący się w innych dzielnicach Polski, ogarniętych propagandą emisariuszy i przemycanej bibuły nielegalnej — tu również znajdował swój akcent i rósł im bliżej wybuchu. Właśnie w 1843 r. Władysław Kosiński, mający za rok objąć naczelne kierownictwo przygotowań powstańczych w Prusiech Zachodnich ogłasza w znanym z radykalizmu Tygodniku Literackim (pozańskim) znamienny artykuł: „Co dziś demokracji pozostaje do czynienia?“ Przedstawiciel patriotyczn. tutejszego ziemiaństwa Kossowski odbywa podróż aż na Lubelszczyznę, gdzie spotyka się z Al. Guttrym, niezmordowanym organizującym łączność spiskową między Poznańskim a Królestwem. Wreszcie wybitni uciekinierzy z zaboru rosyjskiego Seweryn Elżanowski i Michał Słomczewski pojawiają się tutaj i z miejsca wszczynają robotę, nadając jej nieoczekiwany rozpęd. Obrotniejsi i ruchliwsi od działaczy miejscowych — jeżdżą do Poznania, gdzie nawiązują bezpośrednią łączność z funkcjonującym już tam Centralnym Komitetem, wyczuwają lepiej

kierunek akcji i jej ideowe podłoże, przerzucają swą inicjatywę na Prusy Wschodnie i Królewiec. Słomczewski nawiązuje kontakt z Królewcem, wreszcie sam podejmuje się wyprawy do Wilna dla zorganizowania Litwy, Elżanowski wchodzi w styczność z zapalną studenterią gimnazjum chełmińskiego, wysyła z tegoż środowiska Kazimierza Szulca do Elku, a akademika Erazma Niesiołowskiego do Królewca dla propagowania tam powstania i stworzenia ognisk ruchu.

Z działaczy wielkopolskich sięgnął swym wpływem na Pomorze — ambitny przywódca rewolucyjny, twórca szeroko rozkrzewionego „Związku Plebejuszy“ i autor główny socjalnego podłoża ruchu — księgarz poznański Walenty Stefański. Jeden z najpierwszych menterów proletariatu robotniczego i małorolnego chłopstwa — umiejętnie wyzyskiwał on każdy nadarzający się moment dla rozszerzenia swych wpływów, którymi szachował skutecznie umiarkowaną szlachecka opozycję w Komitecie Centralnym. Taką okazję stanowiła dlań akcja sekciarska ks. Jana Czerskiego, zwolennika właśnie wykluwającego się „niemieckiego katolicyzmu“ ks. Rongego w Wrocławiu, dla którego polski wikary z Pily postanowił zwerbować naliczniejszą rzeszę wyznawców. Odszczepieństwo ks. Czerskiego poczyniło najsilniejsze postępy właśnie w Prusiech Zachodnich, w Toruniu, Chełmnie, nawet w Gdańsku. Stefański rzucił w lud pomorski hasło walki z niemieckim, popieranym przez rząd sekciarstwem zagrażającym polskości. Agitacja ta wydała znakomite wyniki: pod hasłem walki o katolicyzm — idee rewolucyjne i radykalne przyjęły się znakomicie na gruncie pomorskim. Toruń stał się najruchliwszym terenem ruchu podziemnego.

### IV.

Jesień 1845 i zima z początkiem 1846 stanowiły moment szczytowy akcji przygotowawczej wybuchu. Działania tych miesięcy wprawiają w ruch cały mechanizm i wysuwają na czoło regionu spiskowców, mających spełnić zadania najbardziej odpowiedzialne. Tę fazę, poprzedzającą sam wybuch na Pomorzu, podzielić należy na dwa okresy: krótszy, trwający od września do 8 listopada (tj. termin aresztowania Stefańskiego) i dłuższy od 8 listopada do 20 lutego. Twórca „Związku Plebejuszy“ przed swym uwięzieniem bawił często na Pomorzu (między innymi pod pozorem otwarciem filii księgarskiej w Toruniu) i przygotował tu teren na tyle zapobiegliwie, że w połowie listopada miał się odbyć w Toruniu ważny zjazd działaczy radykalnych wielkopolsko-pomorskich i z innych zaborów, który byłby niejako ostatnią odprawą dowódców i przeglądem sił pracujących do wybuchu. Program socjalny zarysował się wyraźnie. Stefański głosił postulat zniesienia — przynajmniej na czas powstania — własności prywatnej ziemi i oddania jej gminom pod kontrolą rządu rewolucyjnego. Stąd bliski stosunek łączył go z Edwardem Dembowskim, który spodziewał się przez zjazd toruński porozumieć z wysłannikami Litwy i Kongresówki; obaj przegladem toruńskim zamierzali zaszachować bardziej kunktatorskie i prawicowe skrzydło Komitetu Centralnego. Oficjalnym organizatorem Pomorza z ramienia Komitetu był w owej chwili Władysław Kosiński, syn Amilkara, głośnego generała legionów lombardzkich, w kilka miesięcy potem (we wrześniu) szef sztabu Mierosławskiego. Kiedy jednak powodowany ambicjami wejścia w skład Cen-

centralnego Komitetu Rewolucyjnego, przebywał przeważnie w Poznaniu, a na Pomorze raz po raz jeździł Elżanowski — główny ciężar zorganizowania Prus spoczywał na tym drugim. Ze zjazdem toruńskim wiązano silne nadzieje, co przez konfidentów rządowych — wciągniętych przez nieuwagę Stefańskiego do spisku — doszło do wiadomości władz pruskich. Nastąpiło aresztowanie Stefańskiego. Zamiast zjazdu toruńskiego — minister spraw wewn. v. Bodelschwingh przybył osobiście do Bydgoszczy na konferencję z nadprez. prowincji pruskiej v. Boetticherem i prowincji poznańskiej v. Beurmannem, na której powzięto środki zabezpieczające na bliższą i dalszą metę; oznaczały one nawrót do zaostrzonego systemu Flottwella. Pogotowie wojskowe zarządzono specjalnie w obwodzie bydgoskim i w Pile.

Brak Stefańskiego nie wpłynął jednakże na zburzenie całokształtu planów ruchu na Pomorzu. Elżanowski około 20. XI. otrzymał zwierzchnie kierownictwo przygotowań na tutejszym terenie, przy czym dodano mu szereg „emisariuszy pomocniczych”. Widzimy wśród nich rzemieślników: Michała Torzewskiego i Jana Pozorskiego (garbarza, który za pośrednictwem emisariusza z Warszawy Józefa Klatta porozumiewał się wprost z Henrykiem Kamieńskim, głównym autorem „Katechizmu demokratycznego”) oraz studentów toruńskich: Jul. Trojanowskiego i znanego później Kazimierza Kantaka, mającego wprowadzić nowego szefa w świat konspiracji studenckiej. Elżanowski podzielił Prusy Zachodnie na dziesięć rejonów powstańczych, każdemu wyznaczając komisarza o zarysowanym zgrubsza planie działania i dziesięćdziesiąt (akcentował rolę Kaszubów, borów tucholskich, Torunia i Chelmina). Obwody powstańcze otrzymały następujących komisarzy: toruński — J. Pozorskiego, starogardzki — Juliusza Trojanowskiego (akademika z Królewca), świecki — najpierw Franciszka Kobylińskiego, następnie Stanisława Sadowskiego, grudziądzki — Medarda Borowskiego, chojnicko-złotowski — ekonoma Michała Tchórzewskiego, brodnicki — również ekonoma Józefa Czarnowskiego, malborski — Albina Kierskiego, iańsborski z puszcza kurpiowską — Erazma Niesiołowskiego (który jeździł w sprawach spiskowych do Królewca); dwóm obwodom Warmii i Elku, odleglejszym i trudniejszym do zorganizowania, aresztowanie Elżanowskiego uniemożliwiło nadanie odrębnych kierowników. Główny plan sforsowania Drwęcy — według pruskiego aktu oskarżenia w Riesenprocesie — zawdzięczać należało Władysławowi Kosińskiemu. Delegat Komitetu Centralnego na Pomorze — Nepomucen Sadowski, niebawem komisarz obwodu bydgoskiego, obliczał siły swoich tylko okolic na 5 tysięcy zbrojnego ludu „ze względu na religijny fanatyzm stanu rolnego i wpływ księży”. Wojskowe dowództwo nad całym obszarem zachodnio-pruskim powierzono Stanisławowi Biesiekierskiemu, weteranowi wojen napoleońskich i podpułkownikowi wojsk polskich w kampanii 1931 roku, którego rozkazom podlegać mieli także niektórzy komisarze wielkopolscy, jak Albin Malczewski, komisarz powiatu inowrocławskiego i Bonifacy Garczyński z Szubina (zlecono im zabezpieczenie przejścia przez Brdę). Biesiekierski, stary wiarus wojen regularnych, z pewnym ociąganiem podjął się wykonania najdonioślejszego zadania Pomorza, tj. zaatakowania Królestwa (jego ciekawy żywot, pobyt na Kaukazie, gdzie był mentorem syna chana tatarskiego — opowiada Andrzej Wojtkowski w Polskim Słowniku Biograficznym).

Elżanowskiemu dwukrotnie doręczano instrukcję co do działań na Pomorzu; po raz pierwszy w Poznaniu, gdy go Kosiński mianował „naczelnym agentem Prus” (instrukcję pisemną zaraz po jej przeczytaniu spalił), po raz wtóry z końcem grudnia, gdy mu zwrócono uwagę na znaczenie Grudziądza dla mieszczących się tam zapasów broni i koncentracji wojsk między Grudziądem a Toruniem. Widocznie miano już poufne relacje o zarządzonej po bydgoskiej konfiscacji min. Bodelschwingha koncentracji sił pruskich w tym rejonie (eine mobile Truppe: 1 pułk piechoty, 1 pułk kawalerii, 1 kon. bat.); Grudziądz wyznaczono w planie insurekcyjnym jako jeden z pierwszych kierunków ataku. Wywiad wojskowy powierzono najczęściej ludziom prostym, nie wzbudzającym podejrzeń, tak np. rozlokowanie Prusaków w Bydgoszczy wybrał bednarz Wojciechowski. Z innych punktów ataku wyróżniono specjalnie Pile, Bydgoszcz, Koronowo, Świecie i Starogard. Obwód Świecie był jednym z najruchliwszych terenów przygotowań, może dlatego, że tutejsi dziesiętnicy rekrutowali się głównie spośród studentów chelmińskich; J. N. Tomicki nie tylko przywiózł z Królewca Trojanowskiego, któremu powierzono Starogard, ale zorganizował szereg miast i miasteczek, sięgnął swa agitacja aż do Gdańska, próbując przez szypka Żarnickiego oddziać na marynarzy. Okolice Pelplina i Starogardu dały znowuż silniejszy udział księży; ks. Jan Tułodziecki z Bzowa był upatrzony przez Elżanowskiego na delegata władz powstańczych przy biskupie pelplińskim, ks. Sedlaga, Niemcu (który nie wahał się zalecać podwładnemu klerowi pogwałcenia tajemnicy spowiedzi dla informowania władz policyjnych o spisku), ks. Alfred Łobodzki z Klonówki, ks. ks. Pomieczyski i Kandyba z Subkowa a Bojanowski z Bobowa — wywarli wielki wpływ moralny na swych parafian, zachęcając ich do aktywnego wystąpienia.

Mierosławski najpierw w Poznaniu (styczeń), następnie w Srebrnej Górze koło Kcyni (8 lutego) omawiał wyczerpująco plany strategiczne z Biesiekierskim, Ignacym Ponińskim (atak na Pilę), z Sadowskim i Garczyńskim (atak na Bydgoszcz i osłone Brdy); kontynuacja tych narad był dość liczny zjazd w Bydgoszczy 12—14 lutego, poświęcony omówieniu całości wybuchu na Pomorzu. Uczestniczył w nich zarówno Biesiekierski i Władysław Kosiński, jak Garczyński, Ksawery Karłowski i Lucjan Bajerski z pogranicznych powiatów wielkopolskich. Argusowe oko policji wyczuło поближе sprzysiężenia; nowe aresztowania poczyniły poważne szczyby. Mimo to ruch sprzysiężenia nie zamarł.

## V.

Nastąpił moment wybuchu. 20 lutego wpadł jak wicher z odległego Królewca — Florian Ceynowa, Kaszub, syn gburą spod Pucka, młody lekarz. Samorzutnie i bez chwili wstydzenia porozumiewa się z ks. Łobodzkim, postanawia zastąpić aresztowanego Elżanowskiego i Biesiekierskiego. Liczył na znaczny udział chłopów; mieli ich przyprowadzić w punkta zbrojne: Antoni Świątała, Jan Danowski — włościanie, Eliasz Janta-Lipiński — agronom, Wrzała i Bładzki — robotnicy. Komendę nad atakiem podzielił między siebie Ceynowa i Józef Puttkamer-Kleszczyński — ziemianin.

Podkomendni ci nie zawiedli; grupa ponad sto ludu z nad Wisły i z boru tucholskiego zebrała się pod Starogardem. Było to w noc z 21 na 22 lutego; miano rozbroić huzarów w Starogardzie, wpadając do mia-

sta z dwu stron. Partia Ceynowy stanęła na posterunku gotowa, zdyscyplinowana; oddział Kleszczyńskiego nie dopisał. Odezwały się w nim sarkania, opór przeciw dowódcy, wreszcie poszczególni uczestnicy rozeszli się. Ceynowa, czekając na próżno z drugiej strony miasta, odwołał atak. Zamaszyście pomyślane uderzenie zawiodło w najważniejszym momencie. Historycy z pobłażaniem lub z przekąsem nazwali tę chwilę krytyczną „nieledwie farsą” (ks. Mańkowski) czy „ruchawką” (A. Wojtkowski); a jednak „farsa” ta pociągnęła za sobą trzy wyroki śmierci.

Podobne niepowodzenie towarzyszyło zamierzonemu napadom Bnińskiego na Pilę. Inne ataki sparaliżowane zostały przez aresztowania ostatnich dni i odwołanie powstania. Ostatnią przyczyną stanowiła hamulec dla wypadków rewolucyjnych — najważniejszy; gdyby nie on wydarzenia potoczyłyby się niewątpliwie innym torem, wyznaczając Pomorzu jego właściwą rolę.

Jednakże zawód spiskowców w ostatniej chwili intriguje swa specjalna treścią i wagą. Nasuwa się pytanie, co było źródłem sarkania „kto je podniósł”?

Głosy te padły z ust ludu chłopskiego, tego samego, który w fazie przygotowanej zdradzał taki zapal do wystąpienia. Rzecz wymaga wyjaśnienia. Na ogół moment socjalny w sprzysiężeniu pomorskim — jak już podnosiliśmy — grał rolę wielką. Stefański, kierując Elżanowskiego do Torunia — zlecił mu kontakt w pierwszej linii z krawcem Stawisińskim i jego pomocnikiem Smoleńskim. Istotnie mieli oni wpływ dominujący na swym terenie, organizując świat rzemieślników i wchodząc w bezpośrednią styczność z postępowym ziemiaństwem. (Bogumił Łubieński, syn ziemianina z Szamotułskiego — energicznie protestuje wobec nich przeciw tytułowaniu go „panem”, gdyż „wszyscy są braćmi” a „duma szlachty jest tylko urojeniem”). Mimo tych zbliżeń stosunek chłopów do dowódców szlacheckich pozostał nieufny. Kiedy dziedzic Mierosławic, Walenty Mierosławski agituje wśród znanych sobie włościan, by ruszyli z szlachtą przeciw Prusakom, odpowiada mu chłop Mierzwiński: „... my chłopcy tego głupstwa nie zrobimy; ja nie służę panu, tylko królowi, bo jestem wojskowy człowiek, jak będzie co — to będę wołany od feldfebra, dostane broń a nie kosę w ręce...”. Ta nuta lojalizmu wyrosła na podłożu stanowym, którego gdzieś niegdzie nie mógł nawet przełamać Stefański. Właśnie pod Starogardem w krytyczną noc, mularz Kunia z Klonówki wyrzeka na Polskę i rządy szlacheckie i rozbraja moralnie towarzyszy, idących do boju z kosami i z siekierami. Podobny opór chłopski miał miejsce w oddziale Bnińskiego, czyli w obu wypadkach, tam gdzie na czele oddziału stali przedstawiciele szlachty. O podobnym oporze w innych oddziałach źródła milczą.

Wynika z tego, że okres przygotowania ideowego był jednak za krótki. Polska pańszczyźniana tkwiła zbyt silnie w wyobraźni ludu; właśnie tym szerokim masom brakowało jeszcze świadomości, że walka ma toczyć się nie tylko o odbudowę Polski przedrozbiorowej, ale i o nowy ustrój społeczny. Poza tym na Pomorzu wielką rolę w wciągnięciu włościan w sprzysiężenie odegrało duchowieństwo i reakcja przeciw sekciarstwu, popieranemu przez rząd.

Atoli pierwsze kroki postępu były zrobione. Sam proces i wyroki śmierci posunęły sprawę naprzód. Wykazał to już etap najbliższej ewolucji, a mianowicie Włosna Ludów.

Marian Tyrowicz

# „ZA KULISAMI” CYPRIANA NORWIDA

Z POWODU TORUNSKIEJ PRAPREMIERY

Zarzut niezrozumiałości prześladował Norwida przez całe jego męczeńskie życie. Nie rozumieli go współcześni. Wszak jeden z nielicznych krytyków tych czasów, który poświęcił łaskawie uwagę swą twórczości Norwida, pisał o nim, że przypomina człowieka, który pięścią bije w klawiaturę fortepianu i wmawia we wszystkich, że to naidudowniejsze harmonie. Zarzut niezrozumiałości ścigał go i po śmierci, nawet wówczas, gdy Miriam objawił go i przywrócił polskiemu piśmiennictwu. Zarzut ten ściga jeszcze Norwida i dziś, choć „Promethidion” w szkołach już czytają, a na całe ostatnie pokolenie poetów i pisarzy wywarł Norwid obrzydliwy wpływ. Zapewne, nie jest Norwid pisarzem łatwym, takim, któremu się z niesłychanym wdziękiem rymuje „wiosna” do „radosna” i który, mówiąc słowami „Za kulisami”, „podoba się... każdemu”. Norwid jest poetą, który od poezji żąda czego innego jak wdziesięcznych a mocno... wytartych rymów. Ale czy jest niezrozumiałym? Nie wydaje się. A jednak, nawet Miriam, którego genialnej intuicji i zrozumieniu spraw poezji zawdzięczamy, że Norwid, jako twórca i poeta, jest w ogóle dziś między nami — nawet on pisze we wstępie do tomu „Pism do dziś odszukanych”, w którym znajduje się „Za kulisami”, iż „trudno wyrozumieć pod pewnymi względami (w „Za kulisami”) intencje poety i sposób powiązania scen maskaradowych z właściwą tragedią grecką”. Czyżby jednak był utwór ten naprawdę tak w swym kształcie nieokreślony, że można mieć poważne wątpliwości, gdy chodzi o jego treść i tok akcji? Zobaczmy!

„Fantazja” dramatyczna, jak utwór swój określił Norwid, nosząca tytuł „Za kulisami”, doszła do nas w stanie jeśli nie szczytkowym, to mocno zdefektowanym. Doszła nas zresztą w dwóch redakcjach, co może jeszcze bardziej przyczynić się do zagmatwania jej treści (zachowany epilog, ocalały tylko w formie jednej stroniczki, należał zapewne do pierwszej redakcji). Ale z redakcji drugiej zachowało się stosunkowo dużo: cała niemal część którą nazwać można „prologiem”, i cztery (choć ostatnia może niecałkowicie) sceny z „Tyrteusza”, stanowiącego organiczną część „Za kulisami” i wchodzącego bez żadnych przejść i zapuszczania kurtyny w tors „Za kulisami”, jak o tym świadczą didaskalia poety po scenie z Wodzem i chórem partenianów. Reszta? Reszta jakaś nieświadoma, czego dotyka, ręka wydarła poprostu z rękopisu, może na fidibusy do fajek, może na owinięcie jakiej drobnotki, któż to wie? Za cud to raczej uważać należy, iż całego rękopisu nie spotkał taki sam los, jaki spotkał jego części. Z „Za kulisami” pozostały tylko ruiny, jak przystało na utwór poety, który sam siebie ruiną nazywał. Lecz jest to właściwością wszystkich wielkich dzieł, że stając się nawet ruinami, tracąc część swego „ciała”, nie tracą swego ducha, nie tracą swej wewnętrznej logiki artystycznej, swego „kałku”, jakby powiedział Norwid. I ta logika artystyczna, ów „kałku”, ocalało bowiem dość norwidowskiego tekstu, by go odczytać i kreatorski zarys utworu zrozumieć.

„Niezrozumiały poeta i jeszcze w ruinach? Toż to musi być coś nad wszelkie ludzkie pojęcie!” westchnie ten i ów. Przyjrzyjmy się więc biegowi „akcji” w norwidowskim utworze, choć akcja ta niema nic wspólnego z popularnym pojęciem akcji

z farsy francuskiej, ale raczej z taką, jaką widzimy np. w „Weselu”, gdzie również akcji w farsowym znaczeniu nie ma.

Oto znajdujemy się gdzieś około roku 1840 (może wcześniej, bo „Za kulisami”, dedykowane Warszawie i dziejące się zapewne w Warszawie, ma wybitnie autobiograficzny charakter, choć pisane jest około roku 1870, a więc w okresie najwyższej dojrzałości Norwida) znajdujemy się w salach balowych — zdaje się w warszawskich Salach Redutowych, gdzie odbywa się wielka zabawa maskaradowa. Tłum roztańczonych wypełnia je. W teatrze znajdującym się za ich „kulisami” (może był to warszawski Teatr Rozmaitości, potem Narodowy) grają dramat pt. „Tyrteja”, anonimowego autora. Do sali balowej dochodzą od czasu świsty i gwizdy, jakimi zebrana w teatrze publiczność przyjmuje nieszczęsny dramat.

I oto na tle roztańczonego tłumu przesuwają się poczynają grupy tych co przybyli na zabawę. Domina, służący, policjanci, arlekińcy, paziowie, maski i maseczki wszystko to przepływa przed nami w krótkich dialogach, niby w... „Weselu”. Zjawia się i bohater utworu, Omegitt, prowadzony przez kogoś, kto zwie się Quidam, i sądzić można, uosabia samego poeę. Zjawia się w końcu i Lia, w której nietrudno odnaleźć Marię Kalergis, śmiertelnie nienawidzoną i śmiertelnie kochaną przez poeę wielką damę światową, cudownej urody kobietę, dla której stracił głowę Napoleon III, a Heine pisał wiersze. Otóż z dialogu Lii z przyjaciółką Emma dowiadujemy się, że spotkała ją dziwna i trudna do wytłumaczenia przykreść. Omegitt, hrabia Omegitt, z którym już — już miała się zaręczyć, prosił ją właśnie o jednodniową zwłokę w dokonaniu tego aktu. Rzecz niewytłumaczalna! Chyba tym tylko, że... dziś odbyć się ma zabawa maskaradowa, Omegitt chce być na maskaradzie (tak domyśla się Lia) i stać zwłoka. Jakież jednak było zdziwienie i... oburzenie Lii, gdy tu, na balu, dowiedziała się, iż odmienna była tej zwłoki przyczyna. Nikt inny, a właśnie jej niemal narzeczony jest autorem wygwizdanego w tej właśnie chwili dramatu „Tyrteja”. A wiadomo, że

żadna osoba z dobrego towarzystwa nie pisuje dramatów (zwłaszcza dramatów, które nie mają powodzenia) i nie wystawia ich, choćby anonimowo, jak to uczynił Omegitt. Powód więc dla Lii do alteracji niemały, tak nawet wielki, że gotowa jest rozstać się z niemal doszłym narzeczonym, tym bardziej, że na horyzoncie maskarady pojawił się dawny wielbiciel, referendarz Sofistoff. A tymczasem toczy się nurt balu, przepływają maski, maseczki, arlekińcy, pieroty, paziowie, fiołki, wchodzi wreszcie sam Omegitt, któremu jak powiada, nie chodziło o napisanie dramatu, ale o powiedzenie prawdy. Jakiej prawdy? o tym dalej. Dochodzi wreszcie do krótkiego spięcia, Lia w stanowczej romowie zrywa z poetyckim kandydatem na narzeczonego, zezując razem miłośnię w kierunku Sofistoffa, a zabawa toczy się dalej barwną strugą masek, maseczek, paziów, pierotów, arlekinów. I bawi się ten światek motyli, gdzie jak mówi poeta „uczuć niema”, niema celów, gdzie „braci niema, ni bliźnich, ni ludzi”, a jest tylko pustka i głęboka nuda, okryte jak płaszczem, blichtrzem, udaniem, błyszczącym kłamstwem, bawi się, ten świat, który jest piekłem, nowoczesnym piekłem dantejskim. Przepływają w tafcu pary, mijając się, okrążając... Aż nagle —

Nagle, z mroków balowej sali — a może skąd inąd? z „za kulisami”? — w rozbawiony tłum wtacza się chór, prowadzony przez wodza, chór, który nie jest zabawną iluzją, roześmianym korowodem maskaradowym, barwnych, motyli istnień, ale prawdą, strasliwą prawdą, co przestąpiła nie zwyczajne jej proggi balowej sali i stanęła tu naga, bez osłonek, okrutna, ale prawdziwa. To chór wydziedziczonych wszystkich czasów i krajów, chór w greckich ubiorach, lecz niemniej dzisiejszy, a rzeczywisty bardziej niż owe wszystkie motyle, kolorowe i rozbawione maski. Może wdarł się tu z przedstawienia wyświstanego „Tyrteja”, a może z za kulis tego niefrasobliwego, roztańczonego piekła, by przypomnieć tym rozbawionym parom i nie parom, iż poza tym balem jest jeszcze inna rzeczywistość, rzeczywistość niż one same: to oni, ci z wizji poczęci, ci nierealni, którzy nie mają ojców ni matek: „i żaden z nas nie ma ojczyzny”. Z za kulis rozbawionej społeczności, i w ogóle społeczności, wyszli oni, partenianie, bastardzi spartańscy, pozbawieni wszelkich praw, wydziedziczeni z ludzkiego istnienia, i straszliwym upiorem stanęli przed oczyma tych wszystkich, razem Lią i innymi bohaterami wykwinętego balu, dla których życie jest tylko jedną wielką kolorową igraszką; życie, a z nim i wszystko inne, sztuka, sława, miłość... Cóż więc dziwnego, że przed tym pochodem wyjących straszyleł umyka wszystko, co znalazło się w tej rozkosznie oświetlonej sali

I ledwie przeszedł ów chór upiorów przez opustoszałą salę, a wchodzi na nią nikt inny, ale postacie właśnie co wyświstanego „Tyrteja”, a z nimi prawda, która jest inną prawdą, niż prawda owego motylowego świata maskarady. Jeśli tam, w tym roztańczonego świecie, wszystko było „na niby”, czymś udanym, skłamanym i dlatego nierzeczywistym, to tu, w tym świecie „Tyrteja”, a przynajmniej w pierśi dwojga kochanków, Eginei i poety Tyrteusza, którego wyrocznia delficka naznaczyła na wodza ponoszących klęski Spartan — tu świętość jest świętością, poezja jest poezją, miłość jest miłością. Tu nie ma miejsca na nieobowiązujący flirt z życiem, tu życie w ciężkim trudzie tworzy, tu się walczy i zmagają, tu się jest naprawdę człowiekiem, a nie rozbawioną kukłą z chóru motyli i dlatego iakże przelotnych władców rzeczywistości.



CYPRIAN NORWID  
Rysunek własny

Ten tyrtejsowy świat nie ma „kulis”, z poza których wyjść może chór upiorów, napiętnowanych znamieniem krzywdy, ale jest rzetelny, pełny, prawdziwy jak tors rzeźby greckiej. A ta jego rzetelność, pełnia i prawdziwość ujawnia się nie tylko w stosunku do narodu, społeczności i wszystkich spraw ponadjednostkowych, ale przede wszystkim, w sprawie już najbardziej osobistej, jaką jest miłość, która tu nie jest przelotnym uczuciem motyla dla motyla, ale czymś, na czym gruntuja swe istnienie społeczeństwa. By zdać sobie w pełni z tego sprawę, wystarczy porównać parę Lia — Sofistoff i drugą: Egeina — Tyrtef. Cóż może być zbudowane na kłamnym uczuciu tych dwojga bawidełek maskaradowych, tych dwu błyszczących a pustych kukiel? Chyba nic, co może przetrwać własną nicność. Ale na prawdzie uczucia Egeiny i Tyrteusza, na sile ich miłości, zdolnej do każdego poświęcenia i gotowej do każdej ofiary, budować można ów gmach, który zwie się gmachem dziejów, ludzkości, człowieczeństwa.

Człowieczeństwa! „Bo nie będzie Aten, jeśli w nich nie będzie człowieka” możnaby sparafirować powiedzenie Tyrteusza. I nie będzie nigdy prawdziwej, pełnej społeczności, jeśli nie będzie prawdziwego, pełnego człowieka. Sparta, do której głos bogów wysyła Tyrteusza, jest właśnie taką społecznością, świetnie zorganizowaną, ale bez człowieka. Sparta, to „kilkadziesiąt tysięcy zdrowych głazów, żelazem dobrze skwadrowanych”, ale to nie ludzie, to nie jest społeczność ludzka. „To są kamienie... I dopóki kamienie mogą zwyciężać ludzi”, będą zwyciężać, ale skoro już zwyciężą i gdzie zwyciężą — powiada Norwid — nie zostanie kamień na kamieniu... Może jeszcze dziesięć lat temu można było czytać czy słuchać te słowa i uważać je za... fantastyczne rozważania poety. Ale dziś, gdy z najbliższego i naokrutniejszego doświadczenia wiemy wszyscy, co znaczy zetknięcie się z społeczeństwem „żelazem skwadrowanych głazów”, które rzeczywiście tam gdzie zwyciężyło, nie zostawiało kamienia na kamieniu — słowa Norwida wydają się nam nieco mniej fantastycznymi. Myśląc o Sparcie, proroczym duchem jasnowidza przejrzał on — hitleryzm. I czy to niemal nie zabawne? Dziś szukamy sztuki, któraby sprostała aktualności, wielkim zagadnieniom dni współczesnych. I tu właśnie, w „Za kulisami”, znajdujemy tę arcyaktualną sztukę, w której expressis verbis wyluszczone jest i wyrażone to, czemu napróżno, jak dotychczas, chcemy nadać kształt i słowo. Oto moc wielkiej poezji, moc myśli norwidowskiej, która wyraża to, co po tej wielkiej wojnie „z głazami” gra się w każdej ludzkiej duszy.

Alę wróćmy do toku akcji „Za kulisami”. Karty z końcem „Tyrteja” i prawie całym, znów balowym, „epilogiem” wydarła z rękopisu jakaś niefrasobliwa ręka, może... po powrocie z jakiejś maskaradowej zabawy. Ale „kałku” sztuki nie zatracił się. Wiemy niemal z całą pewnością, iż „Tyrtef” musiał tak samo zniknąć z przygodnej sceny w maskaradowej sali, jak się na niej zjawił, musiał ustąpić dalszej sarabandzie balowej, tak, jak gdyby nigdy nie padły tu słowa tyrtejsowej prawdy, i w ogóle, jak gdyby nigdy nic się nie było stało. Wszystko to, co zjawiało się tu, czy straszne, czy potężne i głębokie, gdzieś jakoś przeminięło, nie pozostawiając po sobie śladu w sercach i umysłach motylowego społeczeństwa maskaradowego, jak gdyby nigdy nie powstało nawet w świadomości piekielnych maseczek. Boć to była przecież tylko przykra wizja balowiczów, a wiadomo, że wizje, poezja, myśl nie liczą się. Dla świata motyli

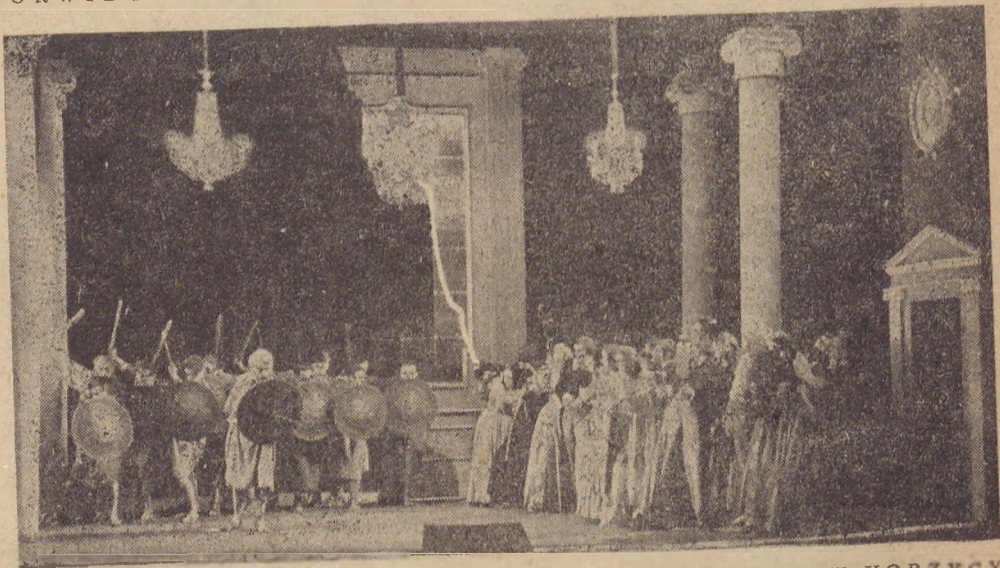
są one czymś nierealnym, nierzeczywistym, majakiem, złudzeniem, aż... aż twarda pięść dziejów srodze go zbudzi z rozkosznego snu o istnieniu. Nieprzyjemne, ach! jakże nieprzyjemne zwidzenie minęło, rozwiało się, i znów toczy się roziskrzona struga balu, dobiegającego końca. Kończą się też sprawy ludzkie, zadzierżgnięte w tej balowej sali. Świetna „lwa salonowa”, Lia, postanowiła niekompromitować się związkiem ze skompromitowanym autorem wyświstanego dramatu i rączkę swoją oddaje referendarzowi, którego nazwisko nie bez racji wywodzi się z sofistów. W różowym świetle poranka odpływa zmęczony ludek, by jeszcze gdzieś wpaść na piwo, na „coś” ze zwierzyny z sałatką, na cygaretko. Tlum unosi i ironicznego Omegitta i pozostaje naga „posadzka zapustnej sceny. Z kandelabrow spadła jedna iza. Ale i ta jedna z wosku była...

Finis! — „Za kulisami” zwie się ta fantazja norwidowska, i trudno zaiste o właściwszy dla niej tytuł, jak ten, jaki nadał jej poeta. Rzecz dzieje się przecież za kulisami teatru, w którym dogorywa niefortunny dramat omegittowy, ale jak często u Norwida, słowo, tym razem tytułu, staje się symbolem, jakby parawanem, za którym kryją się dalsze i najdalsze perspektywy. To, co ukazuje utwór norwidowski, to nie tylko to, co się dzieje za kulisami teatru, którym rządzi baron Glückschnell, sądzący wartość wystawianej sztuki według powodzenia... bufetu w czasie antraktów, i w którym wszechwładną rolę odgrywa „przedsiębiorca aplauzu teatralnego” (alias: „klaki”), jak go nazywa Norwid, ale i to, co żyje i istnieje — ze słabości wzroku lub umyślnie niedostrzegane — za kulisami tej rozbawionej, rozmaskaradyzowanej społeczności, dla której naga, nieprzysłonięta niczym realność życia jest upiorem. Zbiec, zejść temu upirowi z drogi, nie dostrzec go, zaprzeczyć jego istnieniu, oto jedyne remedium tego świata swawolnych motyli na wszystkie bóle społeczne, na wszystkie pytania i zagadnienia, co gdzieś tam głęboko w ich pustym sercu, nawet we śnie, trapić ich nie przestają. Inaczej jakby mogli uirzec partienanów pośrodku drogi opłaconej zabawy? Za kulisy życia i wyznawców „pobielanych grobów”, bezdusznych koneserów życia i wyznawców śmiechu „bo świat potrwia tylko trzy tygodnie”, sięga wzrok norwidowski i — demaskuje. Ale wzrok ten sięga jeszcze dalej. Nie tylko świat, rzeczywistość, „obecność”, jak mówił Norwid, posługuje się kulisami ku swej wygodzie i spon-

kojności, ale w nas samych, w naszych pierśsiach, w naszych duszach umiejętnie potrafimy ustawiać kulisy, byśmy sami nie mogli i niepotrzebowali dostrzegać, co się tam poza nimi naprawdę dzieje. Istnieje bowiem coś, co stanowi złoczone, nienagannie ustawione kulisy — serca. Tym, którzy żyją w tych kulisach konwencji życiowej, wydać się nawet może, że żyją naprawdę, jak Lia norwidowska jest przekonana, iż żyje w świecie arcyrealnym, gdyż zagiąwszy parol na Omegitta, myślała o wszystkim, o „wieku, urodzeniu, stanowisku”, a nawet o „humorze i wzroście”. Ale to są tylko kulisy, błyszczące, urzekające. Co się jednak naprawdę za tymi kulisami kłamstwa dzieje? A przynajmniej, żeby się dziać mogło, gdyby tych cienkich ścianek z płótna malowanego w umowne „achy” i „ochy”, odgradzających nas od nas samych, gdyby tych kulis konwenansu uczuciowego i nieprawdy niebraliśmy za samo serce? Byłbyśmy po prostu czymś całkiem innym, i jako jednostki, i jako społeczność, bo niepodobna żyć tak i być chociażby tylko — sobą. Na prawdzie, nie na kulisach stoi istnienie ludzkie, jeśli jest istnieniem rzeczywiście ludzkim, i dlatego też w całym „Za kulisami” słowo „prawda” powraca nieustannie jak prowadzący motyl tego utworu. I nawrócić na wyznawstwo prawdy, która osiągalna jest tylko poprzez uprawę człowieczeństwa, to jest myśl, która osła przebija utwór i wokół której układa się wszystko co tu jest ukazane i powiedziane.

Dwa światy stają więc w tym norwidowskim utworze przeciwko sobie: świat „kulis” i świat „za kulisami”, i w starciu ich mieści się dramatyczny konflikt tej jedynej w swoim rodzaju „fantazji”. Te dwa światy, te dwie zbiorowości, to są właściwe dramatis personae „Za kulisami”, gdy indywidualia i poszczególne postacie utworu są tylko jakby uczestnikami chórów, dwóch chórów dokonywującej się historii. Konflikt dramatyczny umiejscowiony został więc przez poetę na płaszczyźnie ponadjednostkowej, na tej, na której odbywają się wielkie ruchy zbiorowe, gdzie sprawy dziejowe dokonują się tak jakby poza udziałem pojedynczych aktorów. Ale właśnie przeciwko takiemu pojmowaniu historii, w której nie ma miejsca na jednostkę i człowieka, występuje Norwid z całą namietnością profety. Człowiek nigdy nie był dla niego

NORWIDOWSKA PRAPREMIERA NA SCENIE TORUNSKIEJ



„ZA KULISAMI”, FANTAZJA DRAMATYCZNA C. NORWIDA W INSCEN. W. HORZYCY

Edwin Jędrkiewicz

## NOTATNIK PODRÓŻY SZWEDZKIEJ SZWEDZI I MY W OCZACH CUDZOZIEMCA PRZED LATY 300

dotatkami do historii, a raczej wprost przeciwnie. Rozumiemy przeto dobrze okrzyk Tyrtusa: „O historio, gdyby ty byłaś kiedykolwiek”, gdybyś nie była tylko stygmatem, ale wolną twórczością wolnych ludzi! Dotychczas jednak, powiada Norwid, tak pięknie rozwijając swą myśl w noweli „Stygmat”, dzieje były tylko stygmatyzacją ras i narodów przez warunki pozaludzkie. Ale dziejów prawdziwych nie było. A trzeba, aby były, zaś mogą być tylko wówczas, gdy dokonywać się będą przez świadomego siebie człowieka. I ten obóz dziejowy, w którym ów człowiek rozmięści swą kwatery, ten zwycięży, jak zresztą zwyciężał zawsze, ilekroć dzieje się nie stawały czynem w rodzaju katastrofy kosmicznej, ale wyrastały z heroizmu ich twórców. Bo dzieje prawdziwe rodzą się tylko z heroizmu, na który zawsze jest miejsce, gdyż „heroizm jest jak długo praca”, powiada Norwid. Nie ma więc poeta żadnych wątpliwości, kto w tym starciu dwóch światów i dwóch postaw, jakie ukazał w „Za kulisami”, zwycięży. Zwycięży ten, którego stać będzie na heroizm, a tym na pewno nie będzie ów świat maskaradowego piekła, gdzie obowiązuje tylko jeden nakaz, nakaz wygody, lecz świat Tyrtusa, świat zdolny do bohaterstwa i trudu.

Ale właśnie dlatego, że przez heroizm i trud człowieczy, przez człowieka dokonują się dzieje, właśnie dlatego nic co ludzkiego, nie może być nigdy obojętnym. Właśnie z uczuć i przeżyć pozornie „niehistorycznych”, pozornie „nieheroicznych” wysnuwają się dzieje, jako wieków praca. Ludzono się kiedyś, że jest inaczej. Zdawało się, że musi umrzeć Gustaw, aby mógł narodzić się Konrad. Ale Norwid rozważył i osadził, że taki Konrad, to może gwiazda wirująca na wysokości niebios, ale nie rzeczywisty sprawca historii, która dokonuje się nie na firmamentach ale na ziemi. Ten nadświatowy i odczłowieczony spartanizm konradowy nie stał się też jego wiara. Wiara Norwida dałaby się tak sformułować: bez Gustawa nie ma Konrada. A jeśli tak jest, to i owa niema pasterka z drugiej części „Dziadów” ma prawo głosu, bo i przez nią może się dziać i dzieje się historia, jeśli tylko stać ją na ta żarliwość i ten heroizm, na jaki stać tyrtusową kochankę, Egeinę. Uszczypliwie mówił Norwid, że w literaturze polskiej nie ma kobiety, gdyż „Al-dona to tylko wieża śpiewająca”, a nawet smętna Maria nie przedstawia czegoś znaczącego więcej. Wierzone bo wówczas, iż są uczucia prywatne i uczucia publiczne. Ale Norwid, który wiedział, że człowiek ma jedno tylko serce, i że w tym sercu mieści się wszystko, nie odróżniał prywatnych uczuć od publicznych. Wiedział, że z tych najbardziej osobistych doznań wyrastają najbardziej nieosobiste sprawy i czyny, że miłość, to coś nie tylko o wymiarach kosmicznych, jak dla Szekspira, ale i o wymiarach historycznych, gdyż wysnuwają się z niej rzeczywiste losy ludzkie. Dlatego patrzył na kobietę jak na współtwórczynię dziejów, na kogoś, w czyjej piersi cały Areopag, jak mówi Egeina, w pewnej chwili zamknąć się może. Lia, mariée Sofistoffi, nigdy co prawda nie poczuła w swej piersi żadnego areopagu. Nie darmo przecież reprezentuje świat, gdzie „uczucie nie ma”, jak Egeina wyraża świat o wprost przeciwnie treści. I tak na płaszczyźnie „prywatnych” uczuć ukazuje Norwid dziejowy konflikt dwóch światów, który kto inny, bardziej patetyczny, ukazałby zapewne w kulturnych dymensjach tragedii, dotyczącej głową chmur. Ale Norwid przystąpił do tego inaczej: objawił go w samym wnętrzu ludzkiego serca. I uczynił to chyba najgłębiej.

Wilam Horzyca

Przez ulice miast i przez drogi Polski suną auta z złotym krzyżem w niebieskim polu. Suną witane wszędzie serdecznymi i wdzięcznymi spojrzeciami. W polskich szpitalach — zdewastowanych wojną i rozbójniczą gospodarką hitlerowskich morderców — montują się i urządzają dzięki szwedzkiemu sprzętowi całe oddziały i sale. Tysiące Polaków, których losy wojny przeprowadziły przez Szwecję, wspomina z rozrzewieniem szwedzką życzliwość, gościnność i ludzkość.

Nie ma chyba w Polsce ludzi, którzy by myśleli o Szwecji inaczej jak z głęboką serdecznością.

A był przecie czas, że było inaczej. Całkiem, całkiem inaczej. Był czas, że imię Szweda wymawiane było w Polsce z grozą, nienawiścią i rozpaczą, czas, który wielki pisarz polski, Sienkiewicz, nazwał „Potopem”. Wiek XVII, wiek kilkudziesięcioletnich morderczych zwad polsko-szwedzkich.

Nie chodzi w tej chwili o ich tło historyczne. Chodzi raczej o to, w jakiej postaci i świetle pokazywali się nam, Polakom, wtedy ci przybysze z północy — i w jakim ukazują się dziś. Zapewne, sam fakt wojny wystarczył — i wystarczy zawsze do tego, by wojennego nieprzyjaciela zobaczyć innymi oczyma niż widzi się obojętnego czy przyjaznego sąsiada. Ale to nie było to. Bo nie ulega wątpliwości, że od tego czasu zmienił się — i bardzo — sami Szwedzi.

Przemiany w charakterach narodów są równie pasjonującym jak niełatwym orzechem do zgryzienia dla psychologii mas. Nawiasem mówiąc historia ostatnich 30—40 lat dostarczy do nich więcej chyba materiału niż nieraz całe wieki. Faktem jest, że w przeciągu 2 wieków groźny i wojowniczy, drapieżny i zaborny naród szwedzki zmienił się w naród, któremu zazdrościć można jego cywilizacji, humanizmu i tego wkładu jaki daje w budowę jakiegoś lepszego ludzkiego świata.

O ile Szwedzi zdają sobie sami sprawę z tej metamorfozy swego charakteru narodowego — o tym oczywiście niełatwo sądzić cudzoziemcom. Ale jak ten charakter narodowy przedstawia się właśnie cudzoziemcom?

W tej chwili myślę nie o czasie dzisiejszym. Myślę o tym drapieżnym i wojowniczym narodzie szwedzkim z XVII w. Tak się bowiem zdarzyło, że mam przed sobą pewną książkę wydaną w języku łacińskim w roku 1656 w Paryżu — zatytułowaną „Caroli Ogerii Ephemeres, sive iter Danicum, Suecicum, Polonicum”.

Kilka słów o tej książce. Charles Ogier był sekretarzem tego nadzwyczajnego poselstwa, na którego czele stał Klaudiusz de Mesmes, hrabia d'Avaux, a które wysłane zostało przez Richelieu w r. 1635 do Polski, aby — wraz z podobnymi poselstwami angielskim, holenderskim i brandenburskim doprowadzić do przedłużenia kończącego się w tym roku 6-letniego rozejmu polsko-szwedzkiego. Do przedłużenia rozejmu albo do zawarcia stałego pokoju. Chodziło tu o to, aby rozwiązując Szwecji ręce w Polsce, uzyskać jej wydatną pomoc przeciw cesarzowi w wojnie 30-letniej. Ta nadzieja mocarstw zachodnich doprowadziła też w Sztumsporcie, niedaleko Gdańska, do zawarcia 26-letniego dalszego rozejmu. Jej to dzieje opisał w swym pamiętniku Ogier, stykający się z racji swego urzędu bezustannie z komisarzami szwedzkimi i pol-

skimi. Zanim jednak poselstwo hrabiego d'Avaux dojechało do Polski, załatwiało po drodze poruczone mu funkcje dyplomatyczne przez kilka miesięcy w Danii i Szwecji. O swych wrażeniach z tych krajów opowiada Ogier w I i II części swego pamiętnika. Trzecia poświęcona jest pobytowi w Polsce i wspomnieniom z mediacji.

Miał więc sposobność Charles Ogier, jurysta i literat paryski, przypatrzeć się Szwecji i Szwedom i porównać ich z Polakami, z którymi zetknął się podczas mediacji. Co prawda: z Polakami wyłącznie podczas mediacji — a to znaczy przede wszystkim z przedstawicielami magnaterii i szlachty, podczas gdy w Szwecji, zetknął się nie tylko z dworem ale także, podczas częstych wycieczek po kraju, z innymi sferami społeczeństwa. W każdym razie jego sądy o Polakach i Szwedach są tym ciekawsze, że — choć bez specjalnej intencji autora — wynikają z przeciwstawienia sobie obu stron.

Ale — co z góry zaznaczyć trzeba — Ogier nie jest widzem bezstronnym. Jego brak sympatii do Szwedów wypływa z tego samego źródła, co jego — pewna — sympatia dla Polaków. Ogier jest mianowicie fanatycznym katolikiem, dla którego protestantyzm, a więc i protestanci Szwedzi, są osobistymi wrogami Pana Boga, z drugiej strony jest człowiekiem wystarczająco wrażliwym i niewątpliwie inteligentnym i rozumnym, aby umieć, przynajmniej czasami, patrzeć oczami otwartymi i niezależnymi.

Mówi więc w „Podróży Szwedzkiej” ze szczerym uznaniem o pracowitości, energii, wytrwałości narodu szwedzkiego, o rozumnej administracji kraju. Z podziwem opisuje szwedzkie kopalnie i „kuźnie”-huty metalowe. Zaznacza kilkakrotnie ubóstwo i twardą przyrodę kraju, ale wśród tego wyrывa mu się raz na widok „pospólstwa wiejskiego” zgromadzonego w niedzielę we wiejskim kościele, uwaga, „że nie jest ono ani obszarpane ani głodne jak u nas” i gorzkie zapytanie: „czyżby Szwecja miała lepszy klimat i położenie niż Francja?”. Kilkakrotnie z wdzięcznością wspomina szwedzką gościnność, choć bywała ona czasem aż fizycznie dotkliwa.

Spartańska prostota domu generała de la Gardie, wiejskich domów króla i innych dygnitarzy szwedzkich w zestawieniu z techniczną wspaniałością szwedzkich okrętów wojennych powoduje go do cytowania — w stosunku do Szwedów — ciceronowskiego powiedzenia o Rzymianach, — że „w prywatnym życiu skromni, w sprawach publicznych wspaniali”.

Ale ten mieszczuch paryski, który przed wyruszeniem w podróż dyplomatyczną nie widział nigdy morza, jest także dworakiem — co prawda bardziej z intencji niż z uzdolnienia w tym kierunku — i Francuzem i to Francuzem z epoki Richelieu. To wiele wyjaśnia.

Bo równocześnie ta prostota i skromność a nawet spartańskość — w życiu prywatnym budzi u niego pewne, dające się łatwo wyczuć w tonie, lekceważenie. Zauważa np. złośliwie, że komendanci duńskich i szwedzkich zamków, w których poselstwo w drodze swej się zatrzymywało, byli wtedy stale „chorzy”, ażeby pod tym pozorem nie musieć pokazywać Francuzom swego ubóstwa. Oglądając obóz szwedzki pod Malborkiem powiada, że trudno mu było rozróż-

nić koniuchów od oficerów, tak byli wszyscy obszarpani i brudni a patrząc na żołnierzy, pytał sam siebie czy to ludzie — tak wyglądali dziko, nieokrzesanie i obdarto. Ale dodaje: A przecież mestwo ich poznały całe Niemcy! Jakże mu za to imponuje wystawność i przepych polskiej magnaterii np. jeden z polskich komisarzy rozejmowych, wojewoda Rafał Leszczyński, ofiarowuje posiłki trancuskiemu hrabiemu d'Avaux, przy rozstaniu siedem wybranych koni do kolasy. Gdy poseł wzdraga się i nie chce przyjąć, oświadcza Leszczyński, że każe je na miejscu zastrzelić, jeśli tamten ich nie przyjmie. Wobec tego d'Avaux przyjmuje.

Gdyby Ogier mógł być przewidzieć jak żałośnie dla Polski skończą się za półtora wieku te przepychy i szerokie gesty, jak straszliwie i nieludzko pokutować będzie ojczyzna takich Leszczyńskich przez dalsze półtora wieku — w tym samym czasie, gdy uboga i oszczędna Szwecja będzie dochodziła do coraz większego dobrobytu — byłby zapewne patrzył na te rzeczy innymi oczyma...

Ciekawe zresztą, że ów brak sympatii do Szwedów u Ogiera przejawia się daleko wyraźniej w jego „Podróży Polskiej” — zatem w czasie, gdy wyszedł już ze środowiska szwedzkiego, a zwłaszcza spod bezpośredniego wpływu i atmosfery dworu szwedzkiego a znalazł się natomiast w atmosferze dworu polskiego i polskiej szlachty — niż w „Podróży Szwedzkiej”. W „Podróży Szwedzkiej” np. mówi z rzetelnym uznaniem o geniuszu Gustawa Adolfa, niedawno zabitego pod Lützen, ale w „Podróży Polskiej” odzywa się już o nim z niechęcią i przekąsem, jeśli nie z nienawiścią. (Wiadomo: literat...)

Literat i — jak się rzekło — mieszczech i dworak. Każdy król będzie dla niego zawsze Królem. I to pewna, że tego ducha demokratycznego — demokratycznego przynajmniej w porównaniu z duchem ówczesnego społeczeństwa francuskiego, niemieckiego, polskiego — jaki przejawia się w ówczesnym życiu Szwedów a jaki jest nie wyrazem jakiegoś specjalnie „demokratycznego” reżimu (bo mówienie o nim w XVII w. byłoby anachronizmem) ale wyrazem charakteru szwedzkiego narodu czy rasy — tego ducha demokratycznego, Ogier nie może należycie odczuć i zrozumieć. Oczywiście, ten duch widoczny jest z tej bezbożnej — zdaniem Ogiera — herezji, jaką jest uparte twierdzenie młodego Oxenstierny, syna kanclerza a jednego z komisarzy rozejmowych, że „wszyscy królowie są sobie równi...” (Ogier uważa że francuski zajmule pierwsze wśród nich miejsce.) Ale m. in. choćby w fakcie, który Ogierowi wydał się czymś zgola niesłychanym — i który przytacza jako niezwykłą osobliwość — że chłop z Dalekarlii odważa się powiedzieć do Króla Gustawa Adolfa: „Gdyby moja żona była tak wspaniale ubrana jak twoja, królu, byłaby tak piękna i okazała jak twoja królowa”.

A i ta królowa!

Ta królowa, podczas pobytu Ogiera w Szwecji od niedawna wdowa po wielkim Gustawie Adolfie, robi takie rzeczy, na które Ogier właściwie... właściwie... nie wie co powiedzieć... Bo prozę; ta królowa, która do swego prywatnego towarzystwa zaprasza człowieka niedawno uszlachconego, wita przy tym każdego „podnosząc się z siedzenia, pozdrawia wszystkich czy to oczyma, czy gestem, czy skinięciem głowy.” Ale to jeszcze nic. Ta królowa na oficjalnej dworskiej audiencji odpowiada uprzejmym ukłonem nie tylko na ukłony senatorów i dygnitarzy ale nawet na ukłony dam swego dworu. Ba, ale i to jeszcze nic. Kiedy

przejeżdża przed kwatery posła francuskiego i stojący przed domem jego słudzy kłaniają się jej, ona odklania się im i powstaje przy tym...

„Jeśli można grzeszyć zbytkiem uprzejmości — powiada Ogier z pytyjską ostrożnością i wieloznacznością — to ona grzeszy nią wielokrotnie.”

Ale jest naprawdę pełen entuzjastycznej admiracji dla piękności, czaru i rozumu tej królowej. Cóż: piękna i czarująca kobieta jest piękną i czarującą kobietą. A jeśli przy tym jest jeszcze Królową (przez wielkie „K”)

Nie grzeszą natomiast uprzejmością szwedzcy komisarze rozejmowi. Przynajmniej w stosunku do swych partnerów, komisarzy polskich. Co prawda i co zaznaczyć tu trzeba, w ówczesnym rytuale dyplomatycznym uprzejmość wobec dyplomatów innych mocarstw była uważana za przyznanie niższości własnego suwerena wobec suwerena strony przeciwnej, czego troskliwie unikano. Królowie „nie są sobie równi”. Boże broń! Może też stąd pochodzi uparte drobiazgowość komisarzy szwedzkich w targach o wszelkie szczegóły tak dziś zwanego „protokołu dyplomatycznego”. Zaraz na początku rokowań wywołują całodzienną zwłokę i awanturę o to, że komisarze polscy w swej instrukcji zatytułowali małoletnią królowę szwedzką, Krystynę, „księżną” a nie „wielką księżną” Finlandii. Na nic są wszelkie perswazyje zarówno ze strony posłów mediatorów jak polskich komisarzy, że w tym wypadku Finlandia nie wchodzi wcale w grę przy rokowaniach rozejmowych, że więc tytuł „W. księżnej” czy tylko „księżnej” nie może być uważany za żaden prejudykat. Pisarze polskiej kancelarii muszą ostatecznie dopisać w instrukcji ręcznie ową „wielką”. Dopiero wtedy rokowania mogą ruszyć dalej.

Komisarze polscy — wedle Ogiera przynajmniej — mają na tym punkcie więcej szerokiego gestu. Potrafią pierwsi pozdrowić przy spotkaniu swych przeciwników, czy też pierwsi zrobić wobec nich jakiś gest towarzyskiej uprzejmości.

Bo to, co — ciągle wedle Ogiera — najbardziej cechuje dyplomatyczną metodę komisarzy szwedzkich, to przede wszystkim twardy, ślepy upór. Pierwsza, a często także druga i piąta odpowiedź na wszystkie propozycje pokojowe jest uparte: „nie”. To, na czym im przede wszystkim zależy i czego przede wszystkim żądają od Polaków, to zrzeczenia się przez króla polskiego, Władysława, jego pretensji do korony szwedzkiej. Mediatorowie i Polacy chcą, by za cenę tej rezygnacji zwrócili Polsce Inflanty. Odpowiadają: nie. Proponują im przedłużenie obecnego rozejmu o dwa tygodnie dla umożliwienia dalszych rokowań — nie. Proponują im, już po zasadniczym dościsłu do ugody, by Szwecja i Polska posłały razem nawzajem na swe dwory posłów, których zadaniem byłoby zamienić zawarty na nowo rozejm na stały pokój — nie. Uplywała godziny, dni całe dyskusyj z nimi, przekonywań ich — wszystko odbiła się jak groch od ściany od tego ich uporu. Upierała się przy tym, że wycofać mogą — po zawarciu rozejmu — swe wojska z Prus tylko o ile równocześnie wycofała swoje Polacy i nie można im wytłomaczyć, że jeśli Prusy zgodzą się zwrócić Polsce, to Polska ma prawo utrzymywać tam swoje wojska. Czasem w ogóle — nie słyszą. Np. gdy chodzi o zwrot zabranych przez nich okrętów.

Do szczytu dochodzi ten upór przy nieskończonych targach o swobodę wyznania dla katolików w Inflantach, które mają zostać przy Szwecji.

Tu zauważyć jednak trzeba, że fanatyzmowi katolickiemu Ogiera stoi godnie na

przeciw fanatyzm protestancki Szwedów. Pod tym względem obie strony nie sobie nie mają do wyrzucenia.

Otóż Polacy domagają się od Szwedów, by zezwolili na swobodę wyznania katolikom w Inflantach — które są przecież na razie tylko, na czas rozejmu, a nie na stałe oddane Szwecji, gdzie religia katolicka jest srogo zakazana. Szwedzi nie chcą o tym nawet słyszeć. Wszystko, co można od nich przez długi czas wydobyć, to obietnica, że nie ustanowią dla tych katolików „inkwizycji”. Przy tym punkcie rokowań przychodzi zresztą do krwawej potyczki szwedzko-polskiej wokół namiotów delegacji rozejmowej. Ale zerwania rokowań jakoś uniknięto. Po dalszych długich targach godzą się ostatecznie na zaproponowaną przez Polaków już przedtem formułę — formułę którą mają zeznać ustnie i która nie ma być w warunkach pokojowych pisemnie utrwaloną. Formuła ta, w brzmieniu proponowanym przez Polaków, wyglądała tak: „Wyznawcy religii katolickiej w Inflantach będą się cieszyć swobodą sumienia, jeśli zaś znajdą się tacy, którzy praktykowali obrzędy kultu katolickiego, nie będzie im to poczytane za przestępstwo i zdradę.” Otóż Szwedzi godzą się na to ustne zobowiązanie ale tylko w pierwszej jego części, do słów „jeśli zaś znajdą się itd.” Aby tylko jak najmniej wyraźnie coś powiedzieć. Król Władysław godzi się ostatecznie i na te formuły, ale żąda jej uzupełnienia jednym słowem: będą się cieszyć swobodą sumienia i ofiar”. Na to komisarze szwedzcy oświadczyli naprzód, że nie mogą od razu dać odpowiedzi, dała jednak do zrozumienia, że ta odpowiedź będzie zgodliwa, poczem, na drugi dzień — nie godzą się. I dopiero gdy doprowadzeni już do ostateczności posłowie rozejmcy zbierają się do natychmiastowego odjazdu i pozostawienia całego tego kramu własnemu jego losowi, Szwedzi formułę przyjmują. Po to, by za kilka godzin zażądać od rozejmców pisemnego (zdaje się) oświadczenia, że oni, Szwedzi, nie rozumieli przez to swobody obrzędów. Nie dostali go.

Sprawa ta nie jest pierwszym wypadkiem, kiedy wyprowadzają swych partnerów, zarówno rozejmców, jak polskich komisarzy z resztek cierpliwości. Zdarzyło się to już przedtem, przy kwestii lat projektowanego rozejmu, kiedy tak zawsze dyplomatyczny i ugodowy d'Avaux zagroził Szwedom po wyczerpaniu wszelkich środków perswazji i wszelkiej cierpliwości, że albo przyjmują bez dyskusji złatany z trudem przez mediatorów kompromis, albo mediatorzy rzucają wszystko i odjeżdżają i wtedy Szwedzi ustąpili. Zdarza się to zresztą wielokrotnie: naciągają swym zalekłym uporem strunę do ostateczności, a kiedy grozi pęknięciem, z nagłą ustępują. Ustępują, choć przedtem grozili, że jeśli się ich warunków nie będzie chciało przyjąć, postawią potem jeszcze twardsze.

Są przy tym podejrzliwi do ostatecznych granic. We wszystkim upatrują podstęp, jakąś podrywke i chęć wywiezienia ich w pole. Tak jest przy sprawie owej formuły co do wolności wyznania w Inflantach. Nie wystarcza im, że w traktacie rozejmowym Rzeczpospolita polska gwarantuje im, że na swoim wybrzeżu nie pozwoli nikomu na przygotowanie jakiegokolwiek akcji morskiej przeciw Szwecji: oni chcą jeszcze, by im to z osobna zagwarantowały nadmorskie miasta Gdańsk, Elbląg, Królewiec i Piława, bo „im więcej będą mieli gwarancji, tym pewniej będzie rozejm przestrzegany.” Nie można ich przekonać, że może to ostatecznie zrobić Gdańsk, któ-



ry jest wolnym miastem, ale nie Królewiec, Elbląg i Piława, które nie mają same praw suwerennych. Ostatecznie doprowadzają do tego, że w traktacie rozejmowym mają im to poręczyć książęta pruski i kurlandzki i stany Prus Królewskich.

Przez bardzo długi czas nie chcą się zgodzić na wycofanie swych wojsk z Prus zanim traktat rozejmowy nie zostanie — niezależnie od podpisów na nim komisarzy króla i towarzyszących mu senatorów — ratyfikowany przez sejm polski, „bo ten może wszystko odrzucić”. Widocznie sejmy polskie nie miały już wtedy dobrej opinii. Co prawda, to w tym wypadku, jak zaręczają Szwedom Polacy, nie ma mowy o takim niebezpieczeństwie, bo specjalną ustawą zobowiązał się ten sejm do ratyfikowania układu przyjętego przez komisarzy. Ostatecznie więc po długim i zaciętym oporze godzą się Szwedzi nie czekać na ratyfikację sejmową. Ale gdy już traktat podpisali i oni i polscy komisarze i król i senatorowie, kiedy dokument opatrzone królewską pieczęcią, wylania się nowa trudność. Oto na tej pieczęci figuruje ciągle jeszcze tytuł „król szwedzki”. Szwedzi tedy dokument odsyłają. Kanclerz polski, przyznając im słusność każe ten tytuł z pieczęci wystrząść. Ale to szwedzki komisarzom za mało: jeszcze ich kto może posadzić, że to oni sami te słowa usunęli... Żądają od kanclerza albo pisemnego poświadczenia, że to on te słowa usunął, albo nowej pieczęci. Ba, kiedyż wyraźnie ugodzono między sobą, że o rezygnacji Władysława z tytułu króla szwedzkiego nie ma być wyrażnie ani słowa nigdzie wspomniane, a nową pieczęć królewską można zrobić tylko za zezwoleniem sejmu polskiego.

I tak w nieskończoność, w nieskończoność.

Ale jakoś nareszcie i tę sprawę załatwiono, choć była chwila, gdy zdawało się, że cały już podpisany traktat rozejmowy na niej się wywróci i że przyjdzie do wojny.

Polscy komisarze cieszą się u polaków „lepszą prasą”. Oczywiście: mniej z nimi kłopotów, podczas gdy Szwedzi powodują ciągle nowe. Co prawda Polacy wprawiają zaraz na początku to dyplomatyczne towarzysystwo w nielada osłupienie — osłupienie to ogarnia zresztą i dzisiejszego czytelnika — kiedy prezentują swoje żądania tak biegunowo przeciwnie wszystkim realnym możliwościom, że ich zdolności „dyplomatyczne” wyglądają w tym świetle więcej niż podejrzenie. Bo gdy dla Szwedów główną i najważniejszą rzeczą jest, by król Władysław i w ogóle katolicka linia Wazów rzekła się raz na zawsze pretensyj do korony szwedzkiej, że co gotowi co najwyższej oddać Prusy, Polacy odpowiadają na to: dobrze, Władysław zrzeknie się tych praw, ale równocześnie sami Szwedzi mają — wybrać go królem... A Jan Kazimierz, jego brat, ma dostać księstwo Finlandii, zaś Polska Prusy, Inflanty i Estonie.



P A N E A U D E K O R A C Y J N E

Marian Turwid

### SPOJRZENIE NA BRDĘ

**Twa zielen oliwna nie jest słonecznym winem Sekwany —  
Daremnie kielichy żrenic nurzać w niej aż po brzeg —  
Uśmiech nie skoczy tu rybą w nadziei łuk świeflany —  
Uśmiech utonął pod falą. Kamieniem w mule legł.**

**Surowa jesteś jak Szprewa (choć Szprewa jest czarna —  
[jak smoła**

**Nie można się z tobą bawić, nie umiesz śpiewać jak Ren —  
I zimne twe wody nie zmyją najmniejszej zmarszczki**

**[u czola,  
ni cieniów, jak Leta, nie zniosą w ostatni, najgłębszy cień.**

**Bo nazbyt jest wąskie twe łoża na życia i śmierci szaly —  
Nie mogą się na nim obłoki wytarzać w zwierciadle wód —  
Ciasne koryto brzegów odepchnie kochanków**

**[zbyt śmiałych  
i nurtów wir rozpieniony zakuje w bulwarów chłód.**

**Brzeg brzegu strzeże zazdrośnie, by się, jak Dunaj, szeroko  
nie rozepchnęło łożysko na modrej swobody szlak,  
Więc jakże tu weszbać ma serce, gdy upić nie może**

**[stę oko,  
gdy wciągnął o krawędź wybrzeży spojrzenia tłucze się plak**

**Ale jest taka godzina świętego przymierza ciszy:  
gdy wieczór na oczy nałoży zasłony mrocznych szkieł,  
gdy słońce i wzrok przygasną, gdy rzeka zmęczona dyszy  
i wiąże westchnienie człowieka z siwym westchnieniem  
[swych mgieł.**

Sam Ogier, nie mogąc sobie tej „dyplomacji” i tego „realizmu politycznego” inaczej wytłumaczyć, sądzi, że te żądania można pojąć chyba jako „miarę za miarę” na „niesprawiedliwość i upór” Szwedów, które i samych mediatorów oburzają. Ale ostatecznie może była inna przyczyna, której Ogier a może i d’Avaux bodaj że się nie domyślali. Oto najgłębszym, najserdeczniejszym i — najskrytszym pragnieniem króla Władysława było, by ten rozejm — nie doszedł do skutku. Król marzył o wojnie i o odzyskaniu korony szwedzkiej. Może więc te pierwsze żądania wysunięto za jego sekretarym poduszczeniem, dalszy zaś kompletny powrót do nich spowodowany został wpływami magnatów — za pośrednictwem tych spośród nich, którzy działali jako komisarze — i szlachty, która wojny nie chciała. Jakkolwiek rzecz się ma z przyczynami, to zjawisko samo: działalność polskiej delegacji także nie może — wedle tego, jak to przedstawia Ogier wywoływać entuzjazmu. Brak w niej jasno określonych celów, jest dużo improwizacji i chwiejności. Jednym słowem: pod wielu względami przeciwieństwo do Szwedów.

To przeciwieństwo widoczne i w innych rzeczach. Np. w dyscyplinie wojskowej. Podczas owej potyczki, która wybuchła, jak wspominałem, pod namiotami delegacji rozejmowej, polscy husarzy i pancerni omal nie stratowali kopytami swych koni usiłującego ich zatrzymać kanclerza polskiego i komisarzy. A po stronie szwedzkiej nadjeżdżający na tumult feldmarszałek Wrangel zatrzymuje jednym skinieniem rozwścieczonych i pijanych piechurów szwedzkich.

Ale jest przecież jeden punkt, na którym obie nacje się zgadzają i bardzo są do siebie podobne. To na punkcie gościnności i — pijaństwa. To, co Ogier opowiada o zamitowaniu do trunków i że tak powiem, chłonności na nie żołdaków polskich, szwedzkich i duńskich (w „Duńskiej Podróży”) dowodzi, że klimat w środkowej i północnej Europie stanowczo działa pobudzająco na pragnienie. Nawiasem: historie o pijatyce na dworze duńskim podczas uroczystości weselnych duńskiego następcy tronu trąca czasem zgoła rabelaisowską komiką...

Jeszcze jedna ciekawa wiadomość Ogiera na temat Szwecji. Oto, jak wynikało by z przytoczonych przez niego historii — historii co prawda, opowiadanych Ogierowi już w Gdańsku — Szwecją jest krajem czarownic i czarów. Coś niby w starożytności Macedonia. Wprawdzie te mniej lub więcej włosy na głowie podnoszące historie dziwnie przypominają Metamorfozy Apuleusza, ale niemniej Ogier opowiada je o Szwecji.

Czyżby rzeczywiście było w Szwecji tyle czarownic? Na to mogliby już odpowiedzieć tylko sami Szwedzi a zwłaszcza Szwedki.

Na to, jak i na to pod jakimi względami wymaga korektury w ogóle, a po latach 300 w szczególności ten wizerunek psychiczny Szwedów, taki wyziera z opisów Ogiera.

Edwin Jędrkiewicz

## POJĘCIE MORSKOŚCI U CONRADA

Wyjątkowa szczerłość Conrada, szczerłość nie pragnąca nigdy jednak epatować czytelnika, sprawia, że możemy wierzyć na ogół obszernym jego wypowiedziom osobistym, zawartym czy to w tomie wspomnień czy w „Zwierciadle morza” czy też w licznych przedmowach do większości jego opowiadań i powieści. Conrad sam o sobie mówi, że jest „nieudolnym estetą i nielepszym filozofem”, na co trzeba się w istocie zgodzić, dodając jeszcze do tego fakt trzeci, łatwo dający się zauważyć we wszystkich jego dziełach: braki wykształcenia, wyrażające się konsekwentnie w odrzuceniu ze swych utworów podejścia intelektualistycznego do świata i człowieka.

Niedostatek ten nie należy jednak z góry uznać za wadę twórczości Conrada. Gdyby pisarz rzeczywiście posiadał rozległą wiedzę i objawił ją w jednej chociażby powieści, moglibyśmy dopiero przeprowadzić porównanie, czy literatura straciła coś, czy też zyskała na wyeliminowaniu tych elementów z jego utworów. W rezultacie bogaty świat wrażeń, przeżyć i charakterów, kłębiący się w dziełach pisarza, zostało uporządkowany nie w imię jakiejś filozofii lub głębszej wiedzy, lecz przy pomocy kilku zasad życiowych, niewiadomo czy wyrozumowanych czy też przejętych instynktownie, z których na pierwszy plan wybiła się — jak zresztą zauważył sam pisarz — pojęcie wierności.

Przyjąć tę zasadę bez krytycyzmu, byłoby zbyt prostym uszczerpkowaniem i nierozważną, usprawiedliwiałaby ona bowiem wszystko. Możnaby powiedzieć, że ludzie u Conrada są wierni samym sobie, swej naturze i swym charakterom i oto mielibyśmy obraz z gruntu fałszywy: chaos nieskrępowanego indywidualizmu. Conrad nie poskąpił wprawdzie ani sobie, ani nam widoku szeroko rozwiniętego wachlarza ludzkich namietności, lecz nazbyt był doświadczony i zbyt dobrym był obserwatorem życia, aby nie poznać wszechstronności jego praw. Nie, wierność u niego nie jest jednostronna do tego stopnia, żeby czerpać było trzeba natchnienie jedynie z samego siebie. Conrad widzi jej źródła także poza człowiekiem, w zbiorowości ludzkiej, w ideach i w przyrodzie. Stąd wywodzi się poczucie obowiązku, solidarność zawodowa, umiłowanie dzieła, duch walki i wytrwałości — wszystko to, co sprawia, że pisarz ze swymi powieściami i opowiadaniem morskimi, zwłaszcza zaś czysto żeglarskimi, wzbudza podziw czytelnika i w tych swoich utworach jest bezsprzecznie twórcą wielkim i nie tak łatwo osiągalnym.

W żeglarskich powieściach, tam więc gdzie akcja rozgrywa się w całości, albo w przeważnej mierze na okrętach, dochodzą najbardziej do głosu właśnie te różnorodne motywy wierności ludzkiej. Ona jest sprężyną poruszającą wspólnym rytmem marynarzy, okręt i — rzecz dziwna — również żywioły. Na współgranicy tych elementów, których zmagania się wzajemne pisarz stara się zobrazować, widząc w istocie rządzące nimi wspólne prawo, polega specyficzna „morskość” powieści Conrada, ich jedyną i niepowtarzalność. Odkrycie zasad tego mechanizmu jest dziwnym trafem właśnie zasługą Polaka, który przeszedłszy przez początkowy kosmopolityzm, stał się obywatelem narodu najbardziej żeglarskiego — Anglikiem. Zdaje się, że ten paradoks, polegający na tym, że przedstawiciel społeczeństwa do niedawna jeszcze niemal naj-

więcej lądowego tłumaczy najdoskonalej morskiemu narodowi istotę jego istnienia i działania, w samej rzeczy nie ma w sobie jednak nic osobliwego. Oto poznawszy na wyłot zasadnicze różnice charakterów, w tajemniczywszy się we wszystkie arkana morskości i lądowości, skupiwszy w samym sobie te sprzeczności, mógł Conrad przy niesłychanym darze wyszukiwania swoich obserwacji, poczynić takie spostrzeżenia i ujrzyć to, czego Anglik jako czegoś mu naturalnego i wrodzonego nie dostrzegł.

Pewnie, że na lądzie — w salonach dyplomatów, czy w biurach i dyrekcjach firm handlowych i przemysłowych, grają rolę inne zupełnie względy, że wchodzi tu w rachubę imperializm i kapitał, polityka i chęć zysku. Ale nie znaczyłyby one nic, gdyby morze, ludzie morza i wola morskości nie stały za nimi. Conrad przedstawił nam w kilku swych powieściach ludzi morza w najwyższym rozkwicie ich żeglarskiego rozwoju, gdy ich wszystkie zalety stały się już czymś nabytym i naturalnym, na początku bowiem tego rozwoju stała rzeczywistość chęć polepszenia sobie bytu, co przedstawia doskonale Horacy w jednej ze swych ód, gdzie Teucer każe swym ludziom winem odpędzić troski, jutro bowiem wyruszą na pełne morze w poszukiwaniu lepszej doli, przy czym znać z jego słów, że uważa żeglugę za zło nie dające się odwrócić.

Tymczasem u Conrada jest ona już ustalona, istniejąca formą życia ludzkiego, posiadająca swe reguły niezależnione od praw lądowych, reguły, którym wierne są trzy wchodzące tu w rachubę siły: żywioł, człowiek i sprzęt morski. Ludzie posiadają wiedzę o prawach rządzących żywiołem — umiejętność posługiwania się sprzętem, lecz, znają też swoją od niego zależność, nie próbują więc wychodzić poza granice swej wiedzy. Jest w tym świadomym ograniczeniu się do swych możliwości właśnie cała ciasnota Conrada, ale też i jego genialność polegająca na tym, że abstrahuje od wszelkich pozamorskich motywów działania, potrafił w tych ciasnych ramach ukazać pełnego człowieka, człowieka może nieraz prymitywnego, ale przecież wykazującego cenne wartości i dużą skalę uczuć.

Mowa tu była już kilka razy o żywiole tam, gdzie czytelnik spodziewałby się prawdopodobnie słowa: „morze”. Byłoby to jednak niepełne określenie przestrzeni, w której żyją ludzie morza. Woda jest właściwie dla nich tym tylko, czym droga dla człowieka kontynentu, choć lepiej może wypadłoby ją określić jako szlak karawanowy. Jedynie dla rybaka morze bywa tym samym, co ziemia dla rolnika, ale w powieści na te tematy odpadałyby jeszcze różnorodność i egzotyka portów i wybrzeża, nieodłącznie związanych z morzem, które wraz z nimi i z żywiołem powietrza tworzy dopiero pełny obraz żywiołu tak potężny w twórczości Conrada.

Morze bez wiatru i chmur jest dla Conrada niczym, a słońce gra niktą po prostu rolę. Jedynie jeszcze cisza i wyniosłe zagadkowe niebo południowe mogą tu mieć znaczenie dla żeglarza, jako pewnego rodzaju chwila oczekiwania na nowe przygody. Więcej treści zawiera wybrzeże przemawiające do człowieka coraz to nowym językiem, jak ów przepyszny Wschód w „Młodości”, gdzie był to „Wschód dawnych żeglarzy, taki stary, taki tajemniczy, wspaniały i chmurny, żywy i niezmienny,

pełen niebezpieczeństw i obietnic”. Ważne są te dwa słowa ostatnie, które są może jednym z ważniejszych motorów żeglugi: wola pokonywania przeszkód i nadzieja na nowe wartościowsze przeżycia, pozostała pewnie u rasowego żeglarza z dawnej chęci poprawy warunków życiowych.

Ale na pełnym morzu jest tylko woda i powietrze, nic więcej. Marynarz ze statku żaglowego zna wszystkie możliwości tych dwojga elementów, niekiedy zna je tylko poprzez mgłę przesądów, ale zawsze rozumie je doskonale, wie wszystko o ich straszliwej sile. I ciekawe, że Conrad najczęściej przedstawia je jako siły nienawistne i wrogie człowiekowi, że rzadko tylko potrafi się zdobyć na filozoficzny spokój w obliczu morskiej potęg. I to jest właśnie dobrze u Conrada podpatrzoną cechą ludzi morskich, że uznają oni morze jako swego sprzymierzeńca, lecz przede wszystkim doceniają je jako żywioł, który trzeba zawsze na nowo podbijać, walczyć z nim i pokonać.

A potem są okręty. Właściwie na morzu one wydają się najważniejsze. Jeśli pomyśleć o nich z lądu, byłoby wprost przeciwnie, na pierwszym miejscu stałby człowiek, który stworzył żeglugę i ujarzmił morze jako pewnego rodzaju przedłużenie swej ojczyzny, statek zaś pozostałby na końcu, jako mało znaczący środek do urzeczywistnienia celu. Zdała od wybrzeża okręt staje się łodem żeglarza, staje się jego drugą ojczyzną. Więc jest właściwie wszystkim, co człowiekowi w obliczu groźnych żywiołów pozostało. Powiedział kiedyś pewien wygnany król, że „ojczyzna ma zawsze słuszość” u Conrada zaś stary doświadczony majtek wyraża najgłębsze swe przekonanie w słowach płynących z wiekowicie doświadczonych żeglarskich, brzmiających: „Okręty są zawsze w porządku, tylko ludzie na nich...! i nie dopowiada rozpoczętej myśli, bo właściwie jest ona już całkowicie wyrażona. Różne są wprawdzie okręty, lepsze lub gorsze, lecz bywa z nimi tak samo jak na lądzie, gdzie niektóre narody posiadają bogatszą i lepszą, inne uboższą i na większe narażoną niebezpieczeństwa ojczyznę. Nie ma więc powodu do pogardzania i najgorszym statkiem, bo nawet gdy nie jest on dla ludzi pozabawionych wyobraźni czymś więcej niż jedynie okrętem, staje się zawsze domem, któremu musi się być wiernym, który się opuszcza na zawsze tylko w chwili kataklizmu.

„Okręty są zawsze w porządku”. Tak, dla Lingarda z „Ocalenia” jest jego bryg więcej niż wszystkim, jest treścią życia, drogą do sławy i całym królestwem. Lingard czuje, że los jego związany jest z losami okrętu. Nie zawsze jednak dzieje się tak właśnie, bo przecież ludzie na okręt przychodzą i odchodzą z niego, a statek trwa podobnie jak „Narcyz”, który skołatany potężną burzą zdaje się już poddawać potędze żywiołu, ale po najtrudniejszych przejściach zrywa się znowu do dalszej drogi. Tak samo „Nan-Shan” — jeden z nielicznych parowców z książek Conrada — przebijający się przez wściekły tajfun i wydający się skazanym każdej chwili na zagładę, dobiega przecież do brzegu podobny do okrętu wojennego po ciężkiej bitwie. Są jednak statki, które idą na dno. Wtedy dopiero daje się poznać prawdziwa ich wartość, choć bywają one niekiedy tak stare jak nieszczęsna „Judea” z opowiadania „Młodość”. Marynarz, nawet opuszczając tonący wrak, ma przekonanie, że okręt spełnił do ostatka swe zadanie. „Zaden inny okręt nie byłby wytrzymał tak długiej niepogody, a mój statek musiał ją znieść przez wiele dni, zanim zmiotło nam masztu temu

dwa tygodnie... Nigdy dzielniejszemu okrętowi nie było sądzone zatonać w taki dzień jak dzisiejszy" — mówi kapitan załogi wyratowanej w ostatniej chwili przed katastrofą. Sam Conrad stwierdza, że było w tych słowach wszystko, co można powiedzieć o okręcie: pietyzm, wiara i hołd, złożony temu, co marynarz ma najdroższego.

W „Tajfunie“ wyjątkowo obrazuje Conrad walkę parowca z żywiołem. Proporcjonalnie do jakości okrętu i rozłukanie burz osiąga tu swe największe nasilenie, lecz statek wychodzi z tych zmagañ zwycięsko, choć Conrad nie jest wcale zwolennikiem pary i żelaznych okrętów, uważa bowiem, że bardziej ludzką rzeczą jest dopięć celu przy pomocy morza, aniżeli wbrew niemu. Tu w swym „Zwierciadle morza“ Conrad myli się jednak, gdy twierdzi, że uwielbia morze — bo w dziełach jego dominuje poczucie realizmu, dochodzące zawsze do głosu, ilekroć morze jedynie — jak mówi — okazuje swą siłę. Pisarz zresztą sam zaprzeczył tej swojej wierze, uciekając od morza i zamieszkując zdala od niego, wyrażając jednak swe poglądy, przestaczał się on w pogrobowca romantyzmu, negującego najbardziej istotną treść swych dzieł. Jak Balzak, który wbrew arystokratycznym upodobaniom w swej powieści chłopskiej, wierny drapieżnemu realizmowi swej twórczości, zobrazował uposiedzenie tej warstwy społecznej, tak i Conrad, który nieczęsto przedstawiał parowce, właśnie dlatego, że mógł tylko pisać tak jak mu dyktowała najwyższe artystycznie przetworzona autopsja, z takim samym pietyzmem odnosi się do statku żelaznego jak do żaglowca i dlatego nie można w tym jednym wypadku wierzyć jego uwagom wypowiedzianym w „Zwierciadle morza“.

Otóż i jeden z kluczy do zrozumienia morskości Conrada. Pisarz jest tak dalece bliski prawdy i wierny poszczególnym przeżyciom w swych dziełach, że nie zgadza się z tym całe jego życie i jego objawiający się w niektórych poglądach słowiański, bardziej romantyczny czy sentymentalny charakter. Zdaje się że tych sprzeczności u Conrada dopatrywali się w Anglii jedynie niektórzy krytycy, a obecnie Anglia pogodziła się już z niekonsekwencjami swego

adoptowanego pisarza. Dla nas, którzy jak kłedyś Trojanie i późniejsi Rzymianie uczymy się ciągle jeszcze rzemiosła morskiego, ten rys charakteru Conrada zwiastuje pewne niebezpieczeństwo, marynarz bowiem musi być podobnym do tego starego wilka morskiego, który przecież na egzaminie kapitańskim radził Conradowi przerzucić się na parowce. Jak widzimy, stary Anglik doceniał znaczenie postępu technicznego, Conrad zaś — Polak z pochodzenia — wolał się wycofać na ląd. To prawda, że bez tego faktu literatura światowa byłaby uboższa o parę świetnych dzieł, lecz i prawdą jest, że tylko Anglia mogła sobie pozwolić na swego Conrada, dziejopisa przemijającej wówczas — u schyłku XIX wieku, — morskiej epoki, my zaś jeśli zdobędziemy się na wielkiego pisarza morskiego — musimy już zacząć w tym miejscu literaturę naszej żeglugi i naszego morza, gdzie Conrad ją ukończył. Bo właściwie i marynarz naszej epoki nie jest człowiekiem tego samego pokroju, chociaż w charakterze swym mniej wykazuje zmian, w porównaniu z żeglarzem Conradowskim, niż okręt żaglowy, wobec dzisiejszego parowca. Tu Conrad trafnie wyraził istniejące różnice, bo rzeczywiście dawniej marynarz był skazany na igraszkę żywiołu, dziś zaś żywioł często staje się dla niego igraszką. Obecnie człowiek tylko wyzwała potęgę zdolne przy fałszywym lub zbrodniczym życiu zgubić go samego. Ale zasadnicze cechy ludzi morza pozostały, a nawet spotęgowały się niekiedy, skoro załogi okrętów teraz są znacznie liczniejsze, a więc i poczucie siły zbiorowej staje się większe. Ponadto okręt wymaga i teraz współpracy całej załogi, bardziej stałej zwykle niż dawniej, i jeszcze silniej związanej przez to z okrętem.

Jak zaś ścisła może istnieć współpraca całej załogi nowoczesnego statku przedstawiał sam Conrad w „Tajfunie“, gdzie mechanicy i palacze równie dobrze walczą z burzą jak dowództwo, sternik i ludzie z pokładu. Tylko reis nie trwa tak długo i przez to zmieniło się dużo w dreczącym marynarza poczuciu odcięcia od świata ogarniającym często dawnych żeglarzy.

Powróćmy jednak do nich właśnie, do bohaterów powieści Conrada. I tu właśnie stajemy wobec problemu zmuszającego nas

do zastanowienia się. Nie ma prawie w życiu żeglarza chwil bezwzględnie wielkich, chyba tylko kapitan w krytycznym położeniu stoi samotny wobec odpowiedzialności za los okrętu i powierzonych jego dowództwu ludzi. Może jeszcze zdarzają się momenty bohaterstwa indywidualnego w obliczu ostatecznej próby, ale przecież okręty nie toną i nie płoną tak często. Kapitan Mac-Whirr, pozbawiony zupełnie wyobraźni, znajdujący jednak właśnie dlatego najlepsze rozwiązanie w trudnych sytuacjach, nie jest bohaterem na miarę zgodną z wyobrażeniami wielu ludzi. Tak jak kapitan Allistoun z „Narcyza“ daie on tylko dowód umiejętności powzięcia odpowiedniej decyzji, kiedy umiejętność te musi wykazać. Lecz może bohaterami byli ci kapitanowie, którzy jak Beard opuszczali dopiero okręt w chwili jego zagłady? Wydaje się, że byli oni tylko postaciami więcej tragicznymi niż ci, którzy okręty swe zdołali uratować. Przypomnijmy sobie, że u Conrada są także oficerowie uciekający z pokładu w obliczu niebezpieczeństwa. Ci są równie niemal tragiczni, bo wspomnienie popełnionego przez nich hańbiącego czynu wlokło się za nimi i zatrzymało ich egzystencje mimo chęci zmazania swej winy. A postać Falka z noweli o tej nazwie, czyż nie wywołuje w nas wrazenia, że wczynn indywidualny i indywidualna siła charakteru na okręcie nie zawsze idą w parze z prawdziwym bohaterstwem?

Tak, na okręcie potrzeba wprawdzie samodzielności w powzięciu decyzji, ale bohaterstwo musi być zbiorowe. Po prawdzie bowiem więcej korzyści bywa z tego, że kucharz Podmore na „Narcyzie“ potrafi zgotować kawę dla zniechętej załogi, podczas gdy okręt leży na boku, niż kiedy kapitan tegoż okrętu stawia samotnie czoło podburzonym przez Donkina ludziom i samemu podlegaczowi po to tylko, aby nie rozwiązać złudzeń umierającego murzyna. I jakkolwiek będziemy rozpatrywali rzekomych bohaterów Conrada, prócz umiejętności zdobycia się na decydujący rozkaz w rozstrzygającej chwili, nie znajdziemy prawie czynów bohaterskich dokonanych przez pojedynczych ludzi.

Bohaterska jest mimo niewielkiej wartości niektórych marynarzy, cała załoga „Narcyza“ lub ludzie z „Judei“ zwiatający żagle na płonącym już u dołu maszcie. To oni — jak mówi Conrad — „żeglując po nieśmiertelnym morzu wydobyli treść ze swych grzesznych żywotów... i nikt lepiej od nich nie zmagal się wśród dzikich wrzasków z łopoczącym płótniskiem przedniego żagla; i nikt — wisząc w górze wśród ciemności — nie odkrzykiwał się dzielniej porykiem zachodniej wichury“. Ich bohaterstwo było czynem zbiorowym, bo tylko wspólne może być działanie załogi wiernej okrętowi.

Jakżeż monotonne i mało istotne wydała się nam w porównaniu ze zbiorową wiernością conradowska wyczyn bohaterów Poego, od którego Conrad mógł przejąć wprawdzie pewne wyjątki akcji, ale nie przejął nieprawdziwego na morzu kultu indywidualizmu. Jeszcze mniej ważne są nowoczesne próby rehabilitacji romantyzmu podjęte przez głośnego żeglarza Gerbaulta. Kto czytał jego wspomnienia, ogarnięty zostanie uczuciem nudy i pustki.

Conrad najmocniejszy jest w tych powieściach, w których udaje mu się przedstawić losy okrętów oraz zbiorową pracę i walkę marynarzy. Jako nauczyciel wierności człowieka dla podjętych wspólnie morskich obowiązków pozostanie on długo jeszcze wzorem nie tylko dla pisarzy — marynistów, ale nawet dla żeglarzy.



VINCENT VAN GOGH

MOTYW MORSKI (Rysunek)

Z bieżącej wystawy reprodukcji malarstwa francuskiego i polskiego w Bydgoszczy





WILHELM SZEWCZYK NAGRODZONY.

Za jedno z najszlachetniejszych odznaczeń minionego roku uznać musimy nagrodę literacką miasta Katowic, przyznaną (3. 12. 46) naczelnemu dziś poecie śląskiemu Wilhelmowi Szewczykowi, za wydany w 1945 roku tom poezji pt. „Posągi”.

Szewczyk, który zadebiutował bez wielkiego rozgłosu tuż przed wojną (poemat „Hanys”, 1938), tomem „Posągi” zdobył trwałe i szczególne miejsce we współczesnej poezji polskiej, reprezentując w niej śląski region twórczy w sposób najprawdziwszy i najpełniejszy.

Nagrodzonego poetę gościło niedawno Pomorze (Bydgoszcz, Toruń, Włocławek), na wieczorach autorskich (wspólnych z Wojciechem Żukrowskim) zapoznając się z fragmentami osiągnięć najnowszych laureata.

SĄD NAD DWUDZIESTOLECIEM.

„Twórczość” z numerem grudniowym rozpoczęła druk wyników rozpisanej wśród pisarzy i krytyków ankiety pod hasłem: „Jak oceniam literaturę dwudziestolecia?” Zamieszczono doład odpowiedzi: Marii Dąbrowskiej, Jana Dobraczyńskiego, Bolesława Dudzińskiego i Stefana Kisielewskiego.

Sądy są różne, na ogół jednak dotyczący sowi autorzy „oceny dwudziestolecia” skłonni są okazać nieco więcej pobłażliwości dla minionej ery naszej literatury, niż czyniono to dotąd w luźnych wypowiedziach na łamach prasy literackiej. Z ciekawością oczekujemy dalszych autorytatywnych głosów w tej sprawie.

SRODOWISKO WROCŁAWSKIE

Prasę literacką w Polsce wzbogaciła niedawno nowa pozycja: „Zeszyty Wrocławskie”, kwartalnik krytyczno-literacki, organ Koła Miłośników Literatury i Języka Polskiego, redagowany przez Annę Kowalską i Tad. Mikulskiego. Bogaty numer pierwszy zapowiada nie tylko wysoki poziom wydawnictwa, ale ponadto cnieć wiązania wrocławskiej i śląskiej przeszłości z teraźniejszością literacką.

„Zeszyty Wrocławskie” są jednym z aspektów ożywającego się wyraźnie wrocławskiego środowiska literackiego. Na łamach „Odry” wylicza się długi szereg osiągnięć dość licznej grupy tamtejszych literatów i polonistów. Wrocławskie „czwartki literackie” jubileusz swój obchodzić będą z pewnością tuż po Bydgoszczy, która 50-tą „srodę literacką” osiągnęła dnia 5 lutego.

POEZJA JAKO WYRAZ.

Nakładem ruchliwego wydawnictwa toruńskiego „Księgarni Naukowej T. Szczęsny” ukazało się wnikliwe studium prof. UMK, Konrada Górskiego pt. „Poezja jako wyraz”, stanowiące próbę ustalenia nowego systemu teorii poezji.

Fragmenty tej zasadniczej pracy drukowaliśmy w nr 6-7 i 12 „Arkony” z ub. roku. W najbliższym czasie książkę prof. Górskiego omówimy szczegółowo.

OSMANCZYK I GRABSKI  
LAUREATAMI CZYTELNIKÓW „ODRY”.

W ostatniej chwili nadeszła wiadomość o wyniku posiedzenia jury konkursowego największej (finansowo) powojennej nagrody literackiej w Polsce, — nagrody czytelników „Odry” za dzieła literackie, oparte tematycznie o sprawy Ziemi Odzyskanych w przeszłości i teraźniejszości. 150 tysięcy złotych przyznano Edmundowi Osmańczykowi za dotychczasową działalność pisarską ze szczególnym uwzględnieniem tomu „Sprawy Polaków”; 100 tysięcy złotych otrzymał Władysław Jan Grabski, autor cyklu powieściowego „Saga o Jarlu Broniszu”. Z komunikatu dowiadujemy się, że sąd konkursowy rozpatrywał ponadto utwory literackie: J. Baranowicza, Zb. Bednorza, K. Bunscha, J. Dobraczyńskiego, K. Gołby, A. Kowalskiej, L. H. Morstina — oraz prace naukowe: T. Lehr-Sprawinskiego, J. Mitkowskiego, W. Ogródzińskiego, K. Piwarskiego i St. Srokowskiego.

Zbytecznym zdaje się udowadnianie zasadniczego znaczenia — wynikłego w ten sposób przeglądu sił na froncie zainteresowań zachodniej naszej literatury, publicystyki i nauki. „Odra” pokazała ponadto — czego dokonać może ofiarnościę społeczeństwa, poruszona we właściwym kierunku. W najbliższym numerze „Arkony” obie nagrodzone prace: cykl powieściowy Grabskiego jak i publicystyka Osmańczyka znajdą obszerne omówienie.

TADEUSZ  
SRAMKIEWICZDROGA  
PRZEZ WIEŚ  
DRZEWORYT

Władysław Dunarowski

## PTAK NA WIEŻY\*)

Dzień robi się powoli, ociężale. Widać, jak się zaczyna. Widać, z jakiej śliskiej szaryzyny bierze swoje zarysy, swój początek. Pierwsza wstaje Pela. Nawet nie sarka na służącą, która z Godów nie wraca i przez to ona musi obrobić cały dom. O wszystkim pamięta i na Julę daje baczenie, żeby się nie porwała do jakiej cięższej roboty. Niech najpierw zupełnie pozdrowieje. A do tego czasu niech zwazuje na siebie, niech się przestrzega... Tyle drobiazgu... niech Bóg broni, żeby kiedy miało się tej co przytrafić!

Julia z wdzięcznością patrzy na siostrę. Również z podziwem. Skąd się w niej wzięło tyle serca i tyle zrozumienia? Przecież dawniej różnie bywało. Przeważnie gorzej niż lepiej. Bo Pela także ma swój jankor i swoje muchy w nosie. Wiadomo. Ale od kilku dni nie ma co mówić. Jakby nie ta sama. Czyby tylko tak pod planetę?

Oczywiście nikt nie wie, co Pele ponosi. Jaka radość rozdyma jej piersi. Nikt nie wie i wiedzieć nie powinien. Na szczęście, tak się złożyło, że kartę od Filipa dostała do rąk własnych. Powiedziała, że z Krakowa, od koleżanki. Nikt się więcej nie dopytywał. Co kogo obchodzi jakaś tam koleżanka, której nikt na oczy nie widział.

Najważniejsze, że Filip żyje. Jest w niewoli niemieckiej. A więc nie umarł, ale żyje. Do tej pory nie może ochłonąć z wrażenia. Bo jakże? Przecież jeden z tych, co powrócili z wojska, opowiadał, że widział na własne oczy, jak Filip został ranny w głowę, i że napewno nie żyje, gdyż rannych nikt nie zbierał, a niemcy szli i szli naprzód. Uwierzyła. Tymczasem żyje, jest zdrowy i cały, bo tak pisze. Boże! Żeby tylko z tą wojną jakiś koniec zrobili! Żeby się gdzie nie wygadać o Filipie. Hanka z Płazówki już uwierzyła w jego śmierć i teraz na gwałt zabiera się do innego. Weśle w zapusty. Zresztą, nie dziwota, że się tak śpieszy. Żeby tylko do tego czasu nie rozniosło się o Filipie! Bo jeśli pisał do ojców...

\*) Fragment powieści niewydanej pt. „Leżąc krzyżem”.

— Ubięracie się dziecka! Zaraz śniadanie. A do izdebki nie skłypać się. Niech matka trochę pośpi, bo chora.

— Chora? — dziwi się Staś. — Cozego chora?

— Od... niewyspania.

Ale dzieci trudno przekonać. Nie bardzo wierzą w tę chorobę. Niedawno matka chorowała, jużby na nowo? Musi być w tym jakieś cygaństwo. Z trudem można je w kuchni utrzymać. Nudzi im się bez matki, cni. Stale im czegoś brak. Stale czegoś szukają.

— Długo będą mama chorowali?

— Cicho być, nie skłypaj drzwiami! Jeśli nie rozumiesz weźmie patykę.

Mimo tej groźby dzieci tylko patrzają, kiedy się ciotka gdzieś podzieje, aby zaraz czmychnąć do izdebki. Wiedzą, że nikt inny w tym im nie przeszkodzi. Ojciec? A no tak. Jak zły, bije o byle co. Czy jest powód, czy nie ma. A jak dobry, można wydziwiać, bo nic nie widzi. O, z ojcem można sobie poradzić. Więc zdaje się im, że tak z każdym.

Pela miarkuje ich zamiary. Więc żeby wszystkiemu zapobiec, obiecuje przynieść coś z komory. Coś dobrego. Następuje zgoda. Ale żeby zaraz przyniosła. Konieczne zaraz. Bo takie „później” — to nic innego, jak zwyczajne cygaństwo. Znała się wszyscy na tym. Lecz Pela nie cygani. Wraca z komory z pękatyń podółkiem. Co ona tam mieć może? Gruszki! Suszone witarianie! Wokół krzyki.

Mnie!... mnie!... Mnie nowięcy, bo ja obudem Bronka! Takie słodkie jak cukier!... — Głupsi! Dużo słodciejsze!

Pela rozdaje równo, po garści, po sprawiedliwości. Dostyc na dzisiaj. Tylko żeby był spokój! Bo wiecie, że mama śpi.

Najszczęśliwszy uśmiech przytakuje ciotce zupełną aprobatą. Oczywiście, że miała matka sobie pośpi. Ktoby tam chodził do izdebki, za czym.

Franek sortuje sobie gruszki po kieszeniach: do jednej większe, do drugiej wybiorki. Te większe i ładniejsze zostawi sobą.







skie rządy, niech że się burzą... Wolno im robić tę rewolucję podług chęci. Znam ja inne jarzmo, jarzmo które kark wieśniaka polskiego ugniata nieludzko!... Ale to jarzmo nie cesarz rosyjski nałożył, jeno duma i chciwość panów polskich!... Jakże tam ów honor, gdzie człowiek pospolity z bydłkiem porównany żyje, w bezczęści i upodleniu?... Honor wiadomo, pańska rzecz — nie chłopska! Ojczyzna?... Niby ten kraj... ziemia, niebo!... A cóż to ma do tej tam... rewolucji waszej? Jużci prawda: Kraj... ziemia... to niebo! Jakże mi nie miłować? Ale to, widzi mi się, nie cała jeszcze Ojczyzna. Nie! Ojczyzny są różne! Chłopska Ojczyzna — to jest głód, zimno, i kłątwy, i uciemiężenie!... Ona zawsze była oddzielna od Ojczyzny szlachty — sytej, dostatniej ojczyzny, świętującej hucznie, pańskiej.“ (Kordian i cham). Tę samą myśl wyraził Deczyński w swym pamiętniku zwieźle, lecz sens będzie ten sam: „Nie obwiniam chłopów polskich, jeżeli nie kwapili się do szeregów na pole bitwy przeciwko nieprzyjaciółom Polski, albowiem ciż nieprzyjaciele żadnej im krzywdy nie uczynili, słuszniej zrobiliby byli chłopci, gdyby byli użyli tej siły zbrojnej, tego rozlewu krwi przeciwko swym własnym domowym ciemiężcom i tyranom. Narodowość polska dziś jest wykluczona z rzędu narodów, lecz chłopci polscy nie na tym nie stracili, bo jeżeli nie są lepiej traktowani, jak byli do epoki 1795 r. i w szwytach lat najpóźniejszych to gorzej traktowanymi nigdy być nie mogą, chociażby pod panowaniem największego barbarzyńcy. Pocóż więc chłopci polscy kwapić się mieli do boju przeciwko rosianom?...“ (Żywot chłopca polskiego, str. 99). Jak z powyższych cytatów wynika ukazuje „Kordian i cham“ jedną z najgłębszych przyczyn niepowodzenia powstania — zgodnie z rzeczywistością. Ze obojętności szerokich mas chłopskich, nekanych pańszczyzną, przypieczetowała losy walki z caratem, wie się może z nauki szkolnej. Natomiast dopiero lektura książki Kruczkowskiego uzmysławia każdemu tę tragiczną prawdę z nieoparta siłą. Poza tym oczywiście skłania do wyciągania wniosków co do chwili obecnej. Dziś naród polski — to nie cienka warstwa deklamujących o ojczyźnie, wolności i honorze szlachciców, lecz pełnoprawne masy, dźwigające na swych barkach państwo.

Książka pełna ładunku gorzkich myśli, jeśli chodzi o czas, w których się rozgrywa jej akcja, siła kontrastu skłania do optymizmu. Kończąc lekturę „Kordiana i chama“ jako też lekturę pamiętnika Kazimierza Deczyńskiego, chłopca-inteligenta z czasów Królestwa Kongresowego, przemierza czytelnik ten olbrzymi etap ku postępowi i pełnoprawnieniu obywatelskiemu ludu, jaki się dokonał na naszej ziemi od czasów schyłku pańszczyzny: bilans przemian dzisiejszych jest korzystny — zarówno dla chłopca, jak i dla narodu. Trudno dziś sobie nawet wyobrazić chłopca polskiego, któryby mógł użyć argumentów Deczyńskiego. Równie trudno nam dziś pomyśleć abyż można było pomawiać podporucznika Deczyńskiego, autora pamiętnika, o „moskalofiliizm“ i „zdradę“ i torpedować wydanie jego memorabiliów.

Historia udaremnienia przez różnych szlachetków druku „opisu życia wieśniaka polskiego“ to temat do nowej powieści. Egoizm kasty odniósł triumf nad Deczyńskim. Ścigany przez los chłopski inteligent odniósł jednak moralne zwycięstwo po śmierci, a jego 30-to stronicowe zapiski zrodziły powieść, której aktualność od roku 1932-go stale wzrasta.

Jerzy Kierst

## BALLADA

I.

Nie słuchali go chmurni rybacy,  
ludzie twardzi jak masztowe sosny,  
kiedy śpiewał jak ptak przy pracy,  
który gniazdo buduje na wiosnę.

Śpiewał o tym, że prawda jest w pieśni,  
która pracę podnosi jak żagiel,  
że są światły o których się nie śni,  
marynarzom zamorskiej flagi.

Był samotny. Morze miłował.  
Do rąk białe fruwały mu mewy.  
Usta — czułe, oczy miał płowe.  
Świecił w wodzie, gdy pływał i śpiewał.

I otwierał szeroko ramiona,  
kiedy fale mu biegly naprzeciw  
i spotkaniem się srebrnym radował  
tak, jak śmiechem radują się dzieci.

Zamykała go woda, gdy płynął  
jak powietrze żalonną mewę,  
jak motyla ciepło burszyny  
i był rybą sprężystą i śpiewem.

— Jasna wodo, natchniona błękitem,  
śpiewie żagli, lin i złotych ryb,  
w tobie cisza, modlitwa i przystań,  
w tobie burza, płorun i krzyk.

Nienazwana, perłowa uroda,  
muszlo pełna niezławionych łęcz,  
mijam światła podwodnych ogrodów,  
kiedy idę przez ciebie jak miecz.

Horyzontów zachwycie, miłości,  
coś jest we mnie i zawsze nade mną,  
ty też pełna i pełna światłości,  
świecie wonny, gdy nocą ciemno...

II

Wiatr i sosna. I krawędź urwiska.  
Złota strzała na łuku niebieskim.  
W dole fale w klejnotach i błyskach  
i wspomnienie o żaglu dalekim.

Wiatr boleścią całego świata  
po sosnowych przeciągał skrzypcach  
na obłoku konarów kraja  
piasek mewę pół-żywą zasypał...

Pod tą sosną, co niebo i ziemię  
powiązała na śmierć i życie,  
w rozpostartych zachodu płomieniach  
mew przyzywał różowych w zachwycie.

— Mewy moje, powiewne ryblitwy,  
poławiaczki pereł i konch,  
wyzwolone z kamieni modlitwy,  
ostrzem wiatru rzeźbione w noc.

Gdybym z wami, o mewy bolesne  
mógł odlecieć i płynąć, jak śnieg  
i nie wracać — chyba że we śnie...  
Gdybym z wami...

Tajemnica serce mu wlokła  
po kamieniach dymiących jak smoki —  
włolnowa gwiazda wysoka  
twarz bolesną kryła w obłoki.

III

Raz, gdy czuwał u kolan sosny  
otworzyły się bramy zachodu —  
wypadł promień jak sztylet ostry  
i przeleciał nisko nad wodą.

Potem światła runęła rzeka  
i obiegła dzwon widnokręgu,  
wśród kamieni na brzegu przeciekła  
i nad sosną zawisała jak wstęga.

Morskie ptaki o skrzydłach jak żagle  
i o piórach świecących jak miecze,  
wzlatywały stworzone nagle,  
i siadały półkołem na łęczce.

W powojennej morzem ołchiani,  
na obłoku — na podwodnej łące  
zweglonymi tonęła płatkami  
róża wiatrów — słońce.

Wtedy nagły porwał go wichur:  
„Gwiazd Sterniku — to serce twoje!  
To tyś zamknął pachnącym klelichem  
morze, sieci i lin twardych zwoje.“

Mew obrońco, co cienie przeświełasz  
i przecierasz gwiazdy na niebie,  
to ja, Panie, w rękach Twych fletnia  
i ja, rybak, śpiewam przez Ciebie.

Jeden płomień spala nas obu,  
kiedy strunę szarpie kotwica,  
kiedy piana kwitnie u dzioba,  
gdy się żagiel solą nasycą.

Mysł nam jedna dłonie związała  
od gwiazd wyższa i głębsza niż morze —  
Twój deszcz — łaską dla duszy i ciała,  
mój szepł — w piasku szemrze w pokorze.

Potem szumiąc chmurą jak muszla  
biegł po zboczach w różę wpatrzony —  
wtedy właśnie czerwona kula  
pierwsze płatki rzuciła do wody.

I otworzył się w morzu wqwóz,  
pełen światła — zamknięty Bogiem —  
śpiewak stanął jak posąg z brązu,  
potem zwolna zanurzył się w ogień.

„Jasna wodo, natchniona purpurą...  
Seledynie samotnych gwiazd...  
Ty naczynie miłości, naturo...  
Boże, któryś deszczem łaski spadł...“

Jasna drogo, wysnuta z portu,  
który wszystkie ogarnia okręły,  
płynę — dłońią, jak światłem grotu,  
przebijając fal twoich skręły.

Śpiewny jestem i prosty jak struna,  
pełen wichru i pełen pokory —  
we mnie Bóg jest i we mnie natura  
i wysokość, gdzie ból i orły.

Nim zawinę pod skrzydła światłości  
własnym śpiewem wyprzedzę pieśń —  
połem skończę śmiertelny pościg  
w słońce ludzką zmieniając pieśń.“

Z przygotowanego do druku tomu pt. „Płomień nad czołem“.

## MOST \*)

Tej rzeki wiatr, tej rzeki chłód,  
i uśmiech  
i smutek i smutek nienazwany,  
który na kępach szeleści łanami siwych łóz  
tej rzeki wiatr, jak pieśń, jak ziemi epos szeroki  
przepływający wciąż — to dniami to nocami.

Tej rzeki wiatr spawaczy twarze pieści  
i opala ręce wśród bryzgów krótkich fal  
węzłami spięte zwały sił,  
wśród huku młotów i świstu pił —

i jeszcze innej pieśni.

Kiedy tężeje cichością dzień,  
spoczywający już nad brzegiem rzeki zamilkłej,  
kiedy oparci stoją niedbale na łopatach  
wpatrzeni w zachodu ogromny cień...

Tu — gdzie się nurl leniwy zamienia nagle  
[w krew  
i gdzie nie tylko kołysz Anioł Pański  
ale wybuch łotem wysokich wież —

i wtedy pieśń  
i wtedy smutek i uśmiech eposem porywa stąd  
i śpiewa wciąż i śpiewa wciąż  
stalowy łuk wzniesiony nad zwaliska,  
kiedy pod pierwszą gwiazdą łagodną  
nad rzeki chłód, nad ciemny wiatr  
spawaczy — błyska iskra.

## FORDON

Krajobraz rzeki, rzeki szerokiej  
nad którą tańczą chybkie rybitwy  
i wodę całuje lekki wiatr —  
ślizga się czółno schylonym bokiem  
nad płaskiem płytkim.

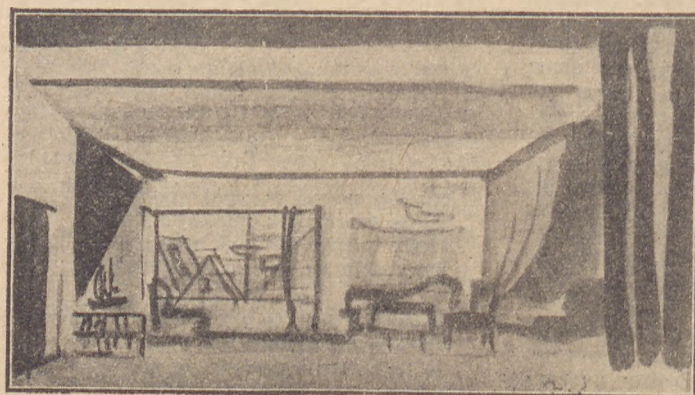
Biją kafary — w białe powietrze  
nad ramionami rozdartych mostów  
wybuchy pary, wysoki świst,  
flaga łopocze na wietrze.

Wybuchy pary, poezji świst  
rozdziiera ciszę nieba i wody  
i młotom dodaje złoła do dźwięku.  
Wszystko niebieskie. I ręki chwył  
i spadające na dno kotwice,  
jak błyski ryb.

Po drugiej stronie miasteczko —  
i dzwonu dźwięk  
kołysz nad wodą pieśni ptasie,  
ku zachodowi stania się dzień  
szepł, szeleści fal.

Krajobraz rzeki, rzeki szerokiej  
nad którą nie tańczą lekko rybitwy

po drugiej stronie zamyka mur  
i dzieli ziemię ciężarem chmur,  
skrzydłem widzenia,  
kropelką krwi.



ZYGUNT SZPINGIER

PROJEKT DEKORACJI  
DO AKTU DRUGIEGO

Aleksander Dzienisiuk

## CZYŻBY KULT LEGENDY?

Legendy i mity jako wytwory umysłu i wyobraźni człowieka są zjawiskiem nie tylko rozpowszechnionym ale i niezmiernie ciekawym zarówno z punktu widzenia socjologii jak i psychologii. Zdolność do estetyzującego i emocjonalnego zabarwienia faktów tkwi już w prymitywnej naturze ludzkiej, skłonnej do uzupełniania braków twardej i niemej, groźnej i nieznannej rzeczywistości. U kolebki rodu ludzkiego leży legenda biblijna o Adamie i Ewie oraz mit o Prometeuszu. Nie zawsze jednak siła mitotwórcza rodziła się w człowieku z bezinteresownych jego dążeń poznawczych, z metafizycznych dociekań i estetycznych upodobań. W wielu wypadkach względy natury ideologicznej, a więc określony cel praktyczny, zadecydowały o legendarnej stylizacji, jej skali i kierunku. Na gruncie partykularizmu starożytnej Grecji i rywalizacji gospodarczej i kulturalnej poszczególnych miast-państw wyrósł mit o tebańskim Kadmosie i ateńskim Erechteusie. W okresie absolutyzmu legendy i mity umacniały autorytet władczej jednostki, która, ptaczając się nimbem nadziemskiej sławy, tym łatwiej narzucała swą wolę zbiorowości i zmuszała ją do wierno-poddanej uległości.

W ten sposób kształtowały się legendy i mity historyczno-społeczne, które, podyktowane przez interes klasowy pewnych grup społecznych, pomimo mistycyzmu, fikcji i fałszu spełniały swe praktyczne zadanie i uchodziły za prawdopodobne tak długo, jak długo trwał żywot mitotwórczej klasy. Irracjonalizm i emocja, dwa nieodłączne i dominujące elementy legendy i mitu, stanowią właśnie jego siłę uwodzicielską, która poprzez wzruszenie dociera do psychiki ludzkiej, budzi w niej podziw i oszłomienie, niwelując sprzeciw i opór trzeźwego rozumu. Podatność emocjonalna jest bowiem niemal instyktowna w człowieku, a w każdym razie bardziej żywiołowa, niż sprawność racjonalnego myślenia.

Dziś, kiedy powszechnie stawia się postulat niezbędnej empirycznej i racjonalnej kontroli naszych czynów i myśli, kiedy współczesna nauka pragnie usunąć z najróżnorodniejszych dziedzin życia wszelkie przesady irracjonalizmu, a socjologia stara się uwolnić człowieka od abstrakcyjnych i fikcyjnych idei, problem istnienia legendy i mitu nabiera szczególnego znaczenia, rozpala umysły, wywołuje dyskusje, zastrzeżenia, negacje i apologie.

Nic więc dziwnego, że „Zeglarz” Jerzego Szaniawskiego, pomimo silnego akcentu

rewizjonistycznego w stosunku do legendy o bohaterstwie, stał się przedmiotem żarliwej wymiany różnych zdań wśród bydgoskich sfer intelektualnych. Wielu spośród krytyków, zabierających głos w dyskusji, „bohaterski zeglarz” Szaniawskiego wprowadził na bezkresne wody chwajnego pro i contra i postawił przed niepokojącym, lecz natarczywym pytaniem: czyżby kult legendy?

Źródłem wahania i wątpliwości należy szukać w specyficznych właściwościach dramatu Szaniawskiego, w którym niejednokrotnie doszukiwano się najbardziej rozbieżnych analogii, a mianowicie z Mussetem i Rittnerem, a nawet z Norwidem i Fredrą. Powszechnie jest znane, że sztuka autora „Dwóch Teatrów”, pełna przemilczeń i niedomówień, odznacza się żywą dynamiką intelektualną, zarysowaną, jak trafnie określa Tadeusz Peiper (por. Odrodzenie Nr 79) „cienkimi ledwie dostrzegalnymi kreskami” i zabarwiona silnie elementem poezji, który potęguje jej osobliwy i wyjątkowy nastrój. Główną sprężyną dramatycznej akcji w utworach autora „Zeglarza” stał się zagadnienie wzajemnego stosunku świata realnego do wizyjnego, świata konkretnych zjawisk do świata wyobraźni, między którymi Szaniawski przetrzuca trwały pomost, mający podkreślić ich integralną więź i zależność. Myśl ta nie jest bynajmniej osobliwa i oryginalna własnością autora „Dwóch teatrów”. Dialektyczny stosunek świata realnego i wyobraźniowego poświadcza współczesna psychologia, która w wyobraźni, fantazji i fikcji, widzi jedynie rozluźniający się kontakt człowieka z rzeczywistością, uzależniony od zmiennych warunków bytu. W wypadku Szaniawskiego chodziło by raczej o rolę, jaką przypisuje autor „Zeglarza” emocjonalnym wytworom wyobraźni w jednostkowym i zbiorowym bycie.

Samo pragnienie poezji w życiu, jego barwy i niezwykłości uważa Szaniawski za naturalny odruch psychiki człowieka, zrodzony na gruncie rzeczywistości, na który zazwyczaj pada czarny cień płaskiej miernoty i szarej ludzkiej przeciętności. Ściśle więc z istotą realnego życia związane jest to uporczywe pragnienie i tęsknota za czymś wzniosłym, osobliwym i upajającym, która snuje się poprzez wszystkie niemal dramaty Szaniawskiego, „Znam wartość swoich róż — mówi Mecenas (Adwokat i róż) — nie są one doskonałe, o, wiem o tym, lecz

\*) W najbliższych dniach ukaże się tom poezji Bogdana Ostromeckiego pt. „Popiół niepodległy”, z którego wyjmujemy oba wiersze.

mają w sobie tęsknotę do doskonałości.“ Oto typowa dla twórczości Szaniawskiego alegoria, zawierająca prawdę o człowieku, któremu od dziecka towarzyszy szczerą i niekiedy naiwną tęsknotą za nową, oryginalną zabawką, za uroczą wycieczką w egzotyczne kraje, za miłością wieczną i idealną, za wizją lepszej przyszłości.

W duszy kapitana Nuta, w rzeczywistości przeciętnego i zwykłego człowieka, ba nawet brutalnego i aroganta, spoczywa również ta potężna tęsknota, która każe mu bronić własnej niezasażonej legendy, która napawa go niewysłowionym wzruszeniem i przejmującą dreszczem emocji w obliczu odsłoniętego pomnika. Autor widzi w niej pierwiastek emocjonalnej, życiodajnej mocy. „Treścią mego życia — oświadcza kapitan Nut wobec nieustraszonego szermierza prawdy — nie jest tylko ten starczy smutek, ale i ta wielka tęsknota, która jest i w tobie“. W indywidualnym życiu kapitana Nuta, ukrywającego się pod postacią zwykłego Schmidta, legenda ta nie pełni jednak podstępnej i interesownej roli tendencyjnego fałszu. Nie posiada tej odurzającej i zwodniczej siły społecznego mistycyzmu. Stanowi jedynie skrawek „rajskiej uludy“, — ów emocjonalny bodziec, bez którego trudny byłby racjonalny nurt życia. Napawa bowiem otuchą i ufnością, strzeże przed załamaniem i pesymistyczną apatią. W tęsknocie kapitana Nuta mieści się niewysłowiona, dodatkowa i poboczna siła, równa tej, która wspaniałym posągom Fidiusza, w przeciwieństwie do współczesnego mu Mirona, nadała idealne kształty. „Kiedyś tu wszedł“ — powiada rzeźbiarz do młodego zwolennika bezwzględnej, kompromitującej prawdy o kapitanie Nucie — powiedziałeś (na widok rzeźby) „To jest kapitan Nut“ — skąd poznałeś że to on? Zobaczyłeś pierwszym spojrzeniem takiego, jakiego widziałem ja“. Oto nowe potwierdzenie żywej tęsknoty człowieka za poezją w życiu, która nie wchodzi w konflikt z realnym kształtem bytu, gdyż w myśl autora „Żeglarza“ stanowi jego logiczne uzupełnienie, — realną całość świata, utkaną z elementem konkretnej rzeczywistości i wyobraźni.

Pomimo swej inklinacji ku idealizmowi Szaniawski tak konstruuje akcję sztuki, że cały jej przebieg przechyla się na korzyść bezkompromisowego szermierza prawdy. Każde słowo Jana, który zwiedził świat i szukał pamiętek po kapitanie, utwierdza raziącą bezpodstawność legendy, demaskuje brzydotę i ordynarność rzekomego bohatera oraz egoistyczną jego ucieczkę z płonącego okrętu. Jest to dowodem realizmu autora „Żeglarza“, że w swych rozważaniach i poetyckich wizjach, osnutych na konkretnych problemach życia, niejednokrotnie obnaża brzydotę i kłamstwo, towarzyszące domniemanej wielkości.

O ile jednak niezasażony heros okazuje się zwykłą miernotą, o tyle ten sam kapitan Nut, żyjący pod przebraniem nazwiskiem Schmidta, urasta w oczach naszych na nieprzeciętnego człowieka. Żyje w cieniu, nie dostrzegalny i zapoznany, nie czerpiąc żadnych materialnych korzyści ze swej legendy. Przeciwnie, dla niej wyrzekł się nazwiska i bogactw. Poważna i szlachetna postać starego Schmidta olbrzymieje i pokrywa się wprost z idealną rzeźbą pomnika, wznoszonego staraniem snobów z komitetu, stanowiących „targowisko“, pragnące pożywić się u źródeł cudzej „świętości“. I właśnie w tych karykaturalnych i groteskowych panach z komitetu dopatrzeć się można negatywnej intencji autora, zamierza-

jącego napiętnować przerosty interesownej, i tendencyjnej siły mitotwórczej, która dla egoistycznych celów potrafi zachłystywać się cudzym blaskiem rzekomej sławy. Z nietajoną satysfakcją, niczym poplecznicy cesarscy, ubiegający się niegdyś o względy ubóstwianego władcy, asystują oni przy apoteozie zmyślnego bohaterstwa. O ileż wyżej wzniosł się ponad to środowisko młody badacz Jan, uosabiający realny i racjonalny element życia. Nie heros — kapitan Nut — przemówił do niego, lecz stary, głęboko myślący Schmidt, którego szczerze słowa o brutalnych listach, osławiających piękność i siłę, objawiły realne oblicze bohatera, będącego połączeniem słabości i siły, brzydoty i piękna...

W efektywnym geście obrońcy bezwzględnej prawdy, uginającego się w końcu przed kultem niezasażonego bohatera, pragnął najprawdopodobniej autor „Żeglarza“ wyrazić konieczność harmonii między poszczególnymi ludźmi oraz solidaryzowanie się jednostki z tą częścią zbiorowości, która w swym racjonalnym biegu życia docenia wartość emocjonalnego elementu i umie czerpać z niego pożyteczną moc w sposób umiarkowany, szczerzy i bezinteresowny (por. rolę dzieci w utworze). To pojednanie posiada w dramacie także charakter wielkiego symbolu wyrażającego postulat harmonii między światem realnym i światem wizji, harmonii, gwarantującej ich jednocześnie i współtwórcze funkcjonowanie w tonie jednej rzeczywistości.

Pomimo więc marzycielstwa, poezji i idealizmu Szaniawski stara się w swym dramacie unikać niebezpiecznych sugestii w kierunku supremacji świata wyobraźni nad realnym życiem, stara się w swych myślach, opartych na rzeczywistości, podkreślić organiczny związek oraz potrzebę należytej proporcji między racjonalną treścią życia i jej emocjonalnym i wizyjnym ładunkiem.

Stąd też bez narażenia się na zarzut kultywowania przerostów mitotwórczej, tendencyjnej siły, mogącej przyjąć pozytywne znaczenie utworu Szaniawskiego za bezsprzeczne, tak jak bezsprzeczna i całkiem realna jest potęga wzruszenia, które uprzedstapnia racjonalną treść życia i tym samym bierze w nim udział, działa i tworzy.



Z Y G M U N T S Z P I N G I E R  
Szkic do portretu Aleksandra Rodziewicza

Adam Grzymała Siedlecki

## ALEKSANDER RODZIEWICZ

Gdy obejmował teatr lubelsko-woliński, był najmłodszym z dyrektorów. Dzisiaj jest najmłodszym z jubilatów.\*) Wzbiera ochota podejrzewać, że dla dodania sobie powagi przytacza w swych biografjach, jakoby już w roku 1916 wstąpił był na scenę. Ale są świadkowie. Rzeczywiście w roku 1916 był już aktorem na rosyjskiej scenie Sołowcowa w Kijowie.

Teatr Sołowcowa u znawców uchodził za scenę, w Rosji ustępującą tylko teatrom stołecznym, piotrogrodzkim i moskiewskim — i to tylko tym uprzywilejowanym, cesarskim, z Dawydowym i Komisarzewską na czele. Nie byle kto mógł się dostać do trupy Sołowcowa, a wiele o talencie Rodziewicza mówi, że u tegoż wymagającego dyrektora grał nie tylko cesarzowicz Aleksandra w „Pawle I“ Mieżkowskiego, ale i Orlatko i Oswalda w „Upiorach“.

Z dobrze ugruntowaną techniką przechodzi w Kijowie na scenę polską, którą tam prowadzi wówczas nieodżałowana wielka artystka Stanisława Wysocka. Tyranka w reżyserii wносиła jednak w pracę zbiorową nie tylko swój fenomenalny talent aktorski ale i ten fanatyzm sztuki, któryby się drewnu na obiciach dekoracji udzielił, a cóż dopiero duszy tak wrażliwej, tak żadnej zapadnięcia się w twórczość artystyczną, jakim był młodzieńki wówczas ex-aktor z zespołu Sołowcowa. Należy mieć głębokie przekonanie, że jeżeli i dziś jeszcze naszego przedwczesnego jubilatka znamionuje ten żar dla sceny, ta gorączka działalności, — to w dużej części zasługa to owej kijowskiej atmosfery teatralnej, którą wówczas oddychał.

Z Kijowa, w r. 1923 dostaje się do krynicy polskości artystycznej, do Krakowa, do dyrekcji Teofila Trzcńskiego. Gra tu co najmniej w połowie tych wszystkich sztuk, które przez trzy sezony tam przy nim wystawiono i staje się ulubieńcem publiczności. Specjalnością aktorską Rodziewicza stają się tzw. amanci, we wszystkich tego emploi odmianach, ale umiłowania ciągną go albo do ról skomplikowane psychologicznych, albo do bohaterów wielkiej poezji dramatycznej. W Krakowie na długie lata zastąpił Carewiczem Aleksym, a później w Poznaniu Mazepą i Konradem w „Dziadach“.

Między Krakowem a Poznaniem okres „Reduty“ u Osterwy, w sezonie 1926—27. Na ten to rok przypada też i nowy etap w rozwoju artystycznym Rodziewicza: tego działalność reżyserska, godnie w nim rywalizująca z laurami aktorskimi. Nie „Reduta“ jednak i nie scena poznańska stały się najszerzą areną dla jego popisów reżyserskich, lecz siedmioletnia jego dyrekcja w teatrze lubelsko-wolińskim.

Siedmioletnia dyrekcja, można by też powiedzieć: siedmioletnia wojna z nieprawdopodobnym nawałem trudności w realizowaniu utopiijnego, zdawało by się, planu obsługiwanego przedstawieniami teatralnymi

\*) W grudniu 1946 r. Al. Rodziewicz, dyr. Teatru Polskiego w Bydgoszczy obchodził 30-lecie swej pracy artystycznej.

nie tylko Lublina i Łucka, ale i wszystkich jako tako większych punktów rozległego a słabo komunikacyjnie urządzonego Wołynia. Tu w pełni zaiskrzyły nie tylko artystyczne ale i społeczne zasługi dyr. Rodziewicza. W historii kultury tego kraju nie obojętną to było sprawą, że najbardziej zapadłe, deskami od świata zabite miasto czy nawet miasteczko, wszelaki Krzemieniec, Dubno, Luboml, Ostróg, Kiwerce, Olyka czy Wiśniowiec, — raz po raz w nierzadkich odstępach czasu miały możliwość korzystania z widowisk teatralnych. I to nie z jakiejś szniry w stylu dawnych bud wędrownych, lecz widowisk, gdzie wszystko, od repertuaru poczynając, na rekwizytach skończywszy: wykonanie poszczególnych ról, ton zespołowy, dekoracje, kostiumy, — wszystko na poziomie prawdziwego, artystycznego teatru. Ten to czyn cywilizacyjny zrosł się z inleniem dyr. Rodziewicza i badacze przyszłości nie zapomną o tym.

Z zawziętej siedmioletniej pasji Rodziewicza nieprzebrane korzyści pobrali Wołyń. straty natomiast poniosła sztuka nasza aktorska. Nie przez to, żeby dzieła, przez niego wystawiane, nie odpowiadały wymaganiom sztuki aktorskiej, — o nie! — właśnie wówczas tam, pod jego reżysem, przewodem, wyrobiła się cała grupa doskonałych użytecznych aktorów, którzy zasilili kadry wszystkich niemal teatrów w Polsce, — stratę sztuka aktorska poniosła przez to, że w czasie swojej dyrekcji lubelsko-wołyńskiej ten znakomity Fortunio, Konrad, Mazepa, zapewne w przyszłości i Kordian i Fantazy, zapewne Hamlet i Faust i Manfred — naraz przestał grywać i do tej pory do pracy aktorskiej nie powrócił.

Co? Dlaczego? Z jakich powodów? Pytany o to daje dość mętne wyjaśnienia. Wszyscy wielbiciele jego talentu nie przestają szukać przyczyn. Być może: tam na Wołyniu absorbowała go bez reszty praca reżysem, ambicja dawania maksimum artystycznego nie w sobie, lecz we wszystkich, którzy stanowią obsadę sztuki. To jedno, a drugie: na tymże Wołyniu, w okresie montowania maszyny teatralno-objazdowej, we wzmaganiu się z trudnościami, zrodziła się w Rodziewiczu namiętność organizatorska i ona pochłonęła go całkowicie.

Namiętność to nie zawsze to samó co talent czy umiejętność. W Rodziewiczu namiętność zesłała się z umiejętnością najwyższej klasy. Trudno o bardziej inicjatywne, gorące, nawet gorączkowe, a jasno całość zadań ogarniającego organizatora. Warto doprawdy śledzić z bliska tę jego fenomenalną potrzebę nieustannej aktywności, zanurzania się po czub w nowe projekty, w nowe plany, w nowe realizacje. Sam w poczynaniach nieustannie dynamiczny ma też i ten dar zwierzchnika który Francuzi nazywają: faire travailler les autres. Zmysł instytucjonalny nie tylko w nim „spoczywa”, ale i kipi w nim, jak zresztą kipi w tym człowieku i do wrzasku dochodzi wszystko: pomysł, emocja, wizja reżysem, chwyt roli, zagadnienia administracyjne. Te to jego właściwości, zrosnięte z najszczerzszymi instynktami artystycznymi, czynią z Aleksandra Rodziewicza jedną z najciekawszych indywidualności w dzisiejszym teatrze polskim.

— Adam Grzymała-Siedlecki

Alina Chyczewska

## PORAŻKI I ZWYCIĘSTWA GRAFIKI

Pewien procent społeczeństwa, niestety u nas bardzo jeszcze niewielki, interesuje się sztuką, odwiedza wystawy, sale koncertowe i odczytowe — pewien jeszcze bardziej minimalny procent może i chce



LUDWIK TYROWICZ  
Kąpiące się kobiety Drzeworyt

sobie pozwolić na gromadzenie obrazów, rzeźb i książek, na turystykę z nastawieniem historyka, czy entuzjasty sztuki. Większość nie szuka tych kontaktów, a nadarzające się przypadkowo ignoruje zupełnie konsekwentnie. Jest to oczywiście obraz mocno schematyczny — odchylenia bywają i to nieraz dość ciekawe.

Powiedzmy grafika — owa sztuka białoczarnej, która wyrzekła się czarodziejstwa barwy, sztuka ludzi cierpliwych, co dłużej, rylcem, igłą wywodzą swoje precyzyjne kreski, walcząc często z twardym opornym materiałem — jakąż ona odgrywa rolę społeczną?

Sprawa wyglądu chwilami dość niepokojąco — wystawy grafik, powiedzmy sobie szczerze, najczęściej świecą pustkami. Sale wystawowe grafiki polskiej w Moskwie odwiedziło 12000 osób — na 6 milionów mieszkańców. Niezbyt trudne zadanie na procenty pozwoli wyliczyć ilu w takim razie ludzi mogło odwiedzić wystawę grafików w Bydgoszczy, która liczy 140.000 mieszkańców. Sprostujmy od razu, że procentowa frekwencja jest jednak nieco większa — ale i tak sale przedstawiają dość typowy widok: snują się po nich ciche a nieliczne widma, które nieruchomieją na długo przed upatrzonymi eksponatami, wodząc po nich nosem w niemej kontemplacji. Istnieje zresztą podejrzenie, że jedne i te same widma materializują się na te same wystawy po kilka razy, sprawiając, iż obliczenia ilości zwiedzających na podstawie sprzedanych biletów przyniosą dane jednak nieco przesadzone.

Ale grafika jest nie tylko dziełem ludzi cierpliwych — ona sama jest także cierpliwą i upartą. Powiedziała sobie: „Nie chce przyjść Mahomet do góry...” — czy coś tam w tym rodzaju — i wybrała się osobiście „pomiędzy lud”.

Doktor X dostał na imieniny drzeworyt, jako że to jest prezent stosunkowo niedrogi, no i ostatecznie dobrze świadczący o zainteresowaniach... ofiarodawcy. Ohdarowany solenizant niewiele ze sztuką miał wspólnego — owszem przyjrzał się, pochwalił, podziękował, a że tak wypadło, kazał oprawić i powiesił w poczekalni pomiędzy ręcznie malowanym krajobrazem z sarenką i różowymi peoniami na tle złocistej kotary. Sąsiedztwo zaiste bardzo świetne i przytłaczające! Pacjenci pana doktora muszą często czekać godzinami na swoją kolej — trzeba ten czas jakoś zapełnić. Lustruje się więc sąsiadów, ogląda ciągle te same pisma, no i nolens volens — obrazy na ścianie. A kiedy peonie wypowiedzą już swoją barwną wulgarność a sarenka bezbronny wdzięk wśród leśnych ostępów, znudzony wzrok zahacza o arabską drzeworytu. Trzeba się mu dokładnie przyjrzeć, by odcyfrować, co oznacza. Jakiś fragment pejzażowo-urbanistyczny. Małe miasteczko wylania się spośród drzew — czarne, białe, szare plamy układają się tak przyjemnie! Wszystkich szczegółów nie widać z tej odległości, trzeba się zbliżyć: I tu znudzony pacjent z poczekalni lekarza robi odkrycie: czarna plama na papierze nie jest zupełnie czarna — rozpiną się na niej delikatna koronka białych kresek, szara plama składa się zato z mnóstwa cieniutkich równoległych linii. Jakże niespodzianie spotykają się one z innymi, które przybiegły z drugiej strony — za chwilę toną wszystkie w puszystej aksaminowej czerności. Podpisano: „Drzeworyt”. Jak się też wycina w drzewie takie cieniutkie kreseczki? Przeciętny pacjent postępuje tak, jak najprzedniejszy znawca grafiki — ogląda z bardzo bliska istotnie ładny drzeworyt, śledzi dukt linii, grę plam jasnych i ciemnych, formuluje nawet problemy... Niespodzianie i niezwykle dla siebie spędza dłuższą chwilę, wykradzioną beznadziejnej nudzie. A może — bądźmy optymistami — uważniej od-tąd zacznie przyglądać się grafice, która przyjdzie do niego jako ilustracja książki, która nasunie się jego oczom w mieszkaniu znajomych, w biurze urzędu, na wystawie sklepu, zawoła z afisza na murze.

O, grafika jest cierpliwa, uparta i naprawdę szczerze demokratyczna! Niczym się nie zraża, o każdego stronnika gotowa walczyć, a ta jej walka bynajmniej nie jest wyrazem płytkiego dążenia do popularności. Chodzi tu o coś znacznie głębszego, chodzi o stworzenie kultury artystycznej wśród najszerzszych mas społeczeństwa. Do odegrania tej roli społecznej powołana jest w wysokim stopniu właśnie grafika ze względu na możliwość jak najszerzego rozpowszechnienia.

Dotyychczas jednak jej sytuacja przedstawia się naszym oczom dość dziwnie.

ważmy bowiem: Wystawy odznaczające się niewielką frekwencją, i to głównie fachowców, wskazywałyby, że jest to sztuka mało zrozumiała, elitarna — a z drugiej strony rozpowszechnienie jej w rękach prywatnych, rola grafiki ilustracyjnej i użytkowej, szczególnie w niektórych państwach... Coś tu nie jest w porządku, czy przypadkiem nie po stronie wystaw?

Przypuśćmy, że nasz pacjent z poczekalni lekarza zapalił się bardzo do nowej dla siebie sztuki i przy najbliższej okazji wybrał się na wystawę grafiki, na przykład na tę w Bydgoszczy — pokaz prac St. Brzęczkowskiego, L. Tyrowicza i T. Śramkiewicza. Wielka sala, okolona fryzami jasnych i ciemnych prostokątów, za nią druga, trzecia... Tyle tych grafik! Na każdej kłębią się linie, kreski, plamy... Adept sztuki czuje się lekko zaniepokojony, tym niemniej zaczyna oglądać powoli, dokładnie, z całym ładunkiem doświadczenia nabytego w tamtej poczekalni. Taki system jest najlepszy, ale męczy szybko.

Grafikę wykonuje się powoli i apercepcyjnie tak samo. Nie sposób jej ogarnąć jednym rzutem oka — nie poto została stworzona — byłaby to wobec niej wyraźna nielojalność. Mądrej i subtelnej książki nie można połknąć jednym tchem, jak lekturę rozrywkową. Grafiki też nie można zbyt wiele naraz i „jednym tchem“. Gdy jej jest za dużo, wywołuje uczucie zmęczenia, oszołomienia, nudy, niecierpliwości — zależnie od temperamentu. Nasz przeciętny pacjent jest człowiekiem nerwowym (spotkaliśmy go w poczekalni neurologa) — drugą ścianę ogląda już pośpieszniej i pobieżniej, coraz mniej dostrzega i rozumie. Drugą salę przebiega galopem, a w trzeciej przysięga sobie, że noga jego na żadnej wystawie grafiki nie postanie. Amen.

Czy wobec powyższego celowe jest z punktu widzenia choćby pedagogicznego urządzenie wystaw wyłącznie graficznych — szczególnie w środowiskach mniej wyrobionych artystycznie? Sądzę, iż racjonalniej byłoby grafikę podawać raczej w mniejszych dawkach, w towarzystwie i w sąsiedztwie dzieł malarskich, w zestawieniu z którymi bynajmniej nie straci — uniknie raczej niejednej porażki.

TADEUSZ  
SRAMKIEWICZ



MIASTECZKO  
KREDA

## WYSTAWA GRAFIKI I AKWAREL

Pokaz objął prace trzech artystów, reprezentujących różne środowiska — St. Brzęczkowskiego z Bydgoszczy, K. Śramkiewicza z Gdańska i L. Tyrowicza z Łodzi. Ilościowo przeważa grafika różnych technik, ponadto trochę akwarel i sporo rysunków tuszem i kredką. Całość, poza nielicznymi akcentami barwnymi, to domena sztuki białoczarnej, gdzie sugestia waloru i swoista wymowa linii oddziałują we właściwy sobie powściągliwy sposób.

Wśród prac St. Brzęczkowskiego przeważają drzeworyty. Pomiedzy nimi wyróżniają się te, które operują raczej plamą („Autoportret“, „Martwa natura“) niż kreską — zresztą często nieco sztywną. Brzęczkowski z zamiłowaniem poświęca się grafice użytkowej i ma za sobą wcale bogaty dorobek w tej dziedzinie. Reklamowe afisze, okładki książek, ilustracje — oto danina artysty na rzecz praktycznych i konkretnych potrzeb życia. Chodzi tylko o to, by „oddać cesarzowi co cesarskie, a Bogu co boskie“, by ilustracyjność nie

przekroczyła godziwych ram, mącąc problemy czysto artystyczne. Jest to co prawda życzenie nieco „na zapas“, wynikające ze świadomości, jak łatwo artyście uprawiającemu sztukę z nastawieniem na funkcję użytkową popaść w pewne maniery, bynajmniej z punktu widzenia artystycznego nie pożądane.

L. Tyrowicz wystawił grafikę, rysunki, akwarele i gwasze. Różnorodność zainteresowania artysty przejawiają się w bogactwie elementów treści, w ciągłych poszukiwaniach nowych rozwiązań formalnych. Na ogół istnieje tu tendencja raczej wzbogacenia niż syntetyzacji formy. L. Tyrowicz nie tylko posługuje się wieloma technikami, ale w ich obrębie szuka, eksperymentuje ciągle. Swój chwalebny zresztą i twórczy niepokój usiłuje ująć w mocne logiczne więzy. Droga wyraźnego komponowania elementów raczej stara się stworzyć nową rzeczywistość niż dać impulsywny wyraz obserwacjom natury. Wyrażenie na przykład komponowane krajobrazy z kulisami na pierwszym planie stanowią motyw dość typowy, powtarzający się często. Rysunki i akwaforty Tyrowicza odznaczają się subtelnością linii. W drzeworytach, wykonanych zwykle kilku narzędziami, równowaga plam białych i czarnych zachwiana bywa często na stronę czerni, a sylwetka przedmiotu oddzielona od tła nieraz jedynie konturem („Teka huculska“).

K. Śramkiewicz jest w swych rysunkach i grafikach bardziej miękki i raczej liryczny. Jego małe miasteczka, wiejskie drogi, chaty i mostki toną w łagodnej poświacie, która modeluje je, ślizgając się po powierzchni. Światło nadaje brylowatość przedmiotom, które artysta rozbudowuje w głąb według zasad perspektywy, zwykle u niego zupełnie przekonywującej. Rysunki kredką Śramkiewicza odznaczają się miękkością modelunku. W rysunkach tuszem na tle bieli lub ciemniejszej plamy kreska pulsuje swoim własnym intensywnym życiem. Kolekcję uzupełniają linoryty, gwasze i akwarele.

Wystawa bydgoska zaprezentowała nie tylko różne środowiska, ale i różniące się silnie temperamenty artystyczne — co jest zawsze rzeczą ciekawą i pouczającą. (A. Ch.)



STANISŁAW  
BRZĘCZKOWSKI

MARTWA  
NATURA  
DRZEWORYT

# OPERACJA

NOVELA

Przyszła jednak. Przyszła na pierwsze wezwanie. Z tą samą pokorą w oczach z jaka tamtego dnia słuchała jego słów. Słów, które rozdzielają na zawsze. Siedziała teraz naprzeciw, za biurkiem jak dziesiątki codziennych pacjentów. Tłumił w sobie pogardę dla jej skulonych ramion. Dla drżenia białych warg, których — czyżby rozmyślił? — nie pokrywała szminka. Ale rozpaczliwy ruch zaciskanych palców przyzywał do sprawy. Nie tylko. Przypominał i to nagłać w jakimś upartym unaocznieniu, diagnozę tamtą, diagnozę palców Piotra. Oczywiście! A przecież stwierdzenie faktu nie przyniosło mu ulgi. Mimowoli spojrzał w okno.

Wtedy tak samo wsłuchiwał się w szum drzew w ogrodzie. Przed nim leżały pieniądze. Cudaczne papierki wymieniane za kieszki, kości, nerki, za szczęśliwe i nieszczęśliwe cięcia. Raczej go wówczas zadziwił, niż przeraził nagły skok tamtego. Uśmiechnął się do wymierzonej lufy i spokojnie położył dłoń na banknotach.

— Dostaniesz je zapewne, chłopcze, jeśli się dowiem, na co ich tak gwałtownie potrzebujesz — Wolną ręką nacisnął kontakt. W łagodnym świetle lampy zniuruchomieli obydwa. Upadło coś z brzękiem na podłogę. — O, Boże, pan doktor! — Przez moment zawahał się z jakiej szufladki pamięci wy dobyć ten głos, ten ruch, tę twarz. I nagle radośnie: — Piotrze! — Towarzyszący słowom ruch ramion przekreślił ubiegłą chwilę. Piotr klęczał przed nim powtarzając bez sensu.

— Doktorze, doktorze! —

Piotr! Zuchwały konspirant okradający banki. Piotr postrzelony, bezbronny, wydany łasce jego skalneta, ratującego życie przy którym dzień i noc trzymało straż gestapo. Od pierwszej chwili poczuł wtedy słabość do tego wspaniałego chłopca. A potem ucieczka Piotra. Nikomu nic nie mogli udowodnić. Zesłali do obozu cały personel szpitala.

Obydwa wrócili myślą do tamtych dni. I nie mówili nic. Bo jeśli... A więc tak. Piotr był chory. Bardziej chory od tego biedaka, któremu w południe trepanował czaszkę. Piotr nie potrafił już spokojnie żyć. Choć skończyła się wojna. Choć nie ma już tamtych banków.

Wyrwało go z zamyślenia szarpnięcie skurczonych palców z jakimi tamten czeptał się jego ubrania. Tak rozbitek chwytła się brzegu szalupy. Pociął w sobie nakaz silny i surowy. Ratować człowieka! Tak, jak dwukrotnie ratował jego ciało. I zaczął targ o tę duszę.

Była to najtrudniejsza rozmowa w jego życiu. Każde słowo ważył i wymierzał, by nie przekroczyć tej nieuchwytniej granicy, za którą są tylko puste słowa moralizatora i grzeczny przymus słuchacza. Piotr bił się pięścią po szerokim czole. Płakał, przeproszał. I nie kłamał. Kiedy był już pewny zwycięstwa, wyszedł z gabinetu, by nastawić herbatę. Gdy wrócił, nie zastał nikogo. Na biurku leżały nietknięte pieniądze. Odrzucone, jak jego rady. Jak ofiarowana praca. Przypomniała mu się pierwsza nieudana operacja.

Zaczął się okres oczekiwania. Bo nie wierzył przez chwilę, by ręką jego mogła już odbić się sama od ratowniczej szalupy. Nie chciał w to wierzyć. Ale mijały tygodnie i Piotr nie wracał. Porównał go tamtego wieczoru do rozbitka. Tak, był nim. Było ich wielu. Wtedy pomyślał o Elżbie-

cie. I nagle pojął: nie był dość doskonały, aby Piotr mógł przyjąć jego pomoc. Odepchnął już takie kurczowo wyciągnięte ręce. Odrzucił Elżbietę. Był głuchy na jej ostatnie, rozpaczliwe S. O. S. Dlatego, że była kobietą którą kochał. Dlatego, że tak kazał urażony instynkt mężczyzny. Pamiętał. Jak nabrzniąły karbunkul pulsował w nim dziś jeszcze ów dzień powrotu. Dobrze pamiętał swoje słowa, swoje racje człowieka, który wrócił z obozu. Borykał się z tą pamięcią jak z opornym przeciwnikiem.

I wreszcie wezwał Elżbietę.

W szklanych gablotkach lśnią narzędzia. Żmure i surowe. Wszystko nabiera rzeczywistego sensu. Gdyby nie pomógł w ucieczce Piotrowi, Elżbieta nie zostałaby sama.

*Amelia Łęczyńska*

## MECENAS SZTUKI POMORSKIEJ

W ubogim kraju Pomorskim sztuka nie miała pola do rozwoju, ani też okoliczności nie sprzyjały krzewieniu się wybitnych talentów. Ziemia była nieurodzajna, otworem stojąca często przemaszderowującym wojском: krzyżackim posiłkom, dającym z zachodu na wschód, do Prus, zagonom brandenburskim, armiom polskim i szwedzkim, walczącym wytrwale o ten szmat wybrzeża. Na dworach chwiejnych i na ogół słabych ksiąząt wpływy polskie, szwedzkie i niemieckie ścierały się naprzemian. Nieustające wewnętrzne zatargi bogatych miast hanzeatyckich z zazdrośnymi o swe prawa książętami, korsarstwo przybrzeżne, a rozboje „Raubritterów“ w głębi lądu stwarzały atmosferę nieprzychylną dla rozwoju kultury, sztuki i wiedzy. Tak więc lesisto-piaszczyste pobrzeże zostawało krajem biednym, a jego dwór daleko w tyle za kwitnącymi i ruchliwymi dworami panujących środkowej Europie.

Już Bogusław X, ożeniony z Anną Jagielloną — uważany za najwybitniejszego z ksiąząt pomorskich — podniósł nieco blask swego dworu — jak i powagę swojej osoby — przez kontakt z zagranicznymi dworami, liczne podróże i uniejętne sądy. Nie on jednak, ale Filip II, syn Bogusława XIII, panujący w Szczecinie od 1606 roku był tym, który zasłynął z patronowania pięknym sztukiom i swych upodobań szlacheńskich. Od młodości zdradzał zamiłowanie do ksiąg, sam nawet pisać próbował. Kształcił się w Rostocku — na uniwersytecie. Podróżował później po Włoszech, przez całe dwa lata, zawiązując znajomości z artystami, uczonymi, niecenasami sztuk. Wcześniej

Sama ze swą niepokojącą urodą, ze swą słabością. Gdyby nie ponowne spotkanie z Piotrem już nie siedziałaby tu dzisiaj z wpatrzonymi w niego oczyma. Po raz pierwszy spojrział w te oczy. Przez kontrast poczuł się silny. Przelewały się przez niego setki uczuć i myśli. Powiedział nie- zrzecznie:

— Nie kul się tak, malutka... Trzeba znowu zacząć być człowiekiem...

Przykry i niepotrzebny płacz Elżbiety. Na szczęście: dzwonek telefonu. Podniósł szybko słuchawkę. To znajomy z miasta pytał czy może przyjąć do pracy Piotra Łęcza, który powołuje się na pana doktora.

Roześmiał się młodzieńczo, zwycięsko i przytulił do ust drżące i wilgotne palce Elżbiety.

też zaczął gromadzić dzieła sztuki, jako też książki, a jego pasja kolekcjonerska miała z biegiem lat zataczać coraz szersze kręgi. Droga wymiany lub kupna doszedł powoli do cennego zbioru. Na dwór swój szczeciński sprzaszał ludzi wybitnych, otaczał się uczonymi i artystami. Ale w pełni rozwinął swoją działalność dopiero z chwilą nawiązania listowego kontaktu z Filipem Hainhoferem, augsburskim patrycjuszem, cieszącym się naówczas znacznym rozgłosem w Europie środkowej, jako dyplomata, doradca, mecenas, handlarz wysokiej miary dziełami sztuki i — uroczy rezident na dworach książęcych. Otóż ów Hainhofer, poznawszy słabostki swego imiennika mianuje się skwapliwie pośrednikiem jego przy obstalowaniu dzieł sztuki, rodzinnemu Augsburgowi dostarczając niemałych i nierzadkich zamówień na dwór szczeciński. — A ponieważ zaniłowania jego były specjalne, noszące na sobie piętno epoki i przerafinowanej, specyficznie mieszczańskie kultury, więc też i dzieła dostarczane przez Hainhofera stały się odbiciem tego utylitarnie-artystycznego smaku.

Listę ich otwiera srebrny koszyk na roboty dla księżnej Zofii. Dawno już zaginęło owe barokowe cacko, ale z rysunków współczesnych możemy nabrać dokładnego wyobrażenia, jak wyglądała ta misterna złotnicza robota. Całość pleciona ze srebrnych prętów, ozdobiona bogato cyzelowanymi owocami, kwiatami, ukoronowana grupą porwania Europy.

Później przesyła księciu na pergaminie malowane zwierzęta dla jego zoologicznego albumu, oraz szereg miniatur do słynnego

*Włodzimierz Żelechowski*

## WIELKA WODA W GODZINIE SZTORMU

**Straszny młyn czarodziejski, huczący zieloną zgrozą,  
polworne, żywe cieleśka, zwalistych, ryczących fal.  
Nie można ich wymierzyć ni rymem żadnym ni prozą,  
nie można wewnątrz ich zgłębić, stałowych bardziej niż stal.**

**Chmura w czerń nawiśnięta powietrze zygzakiem orze,  
niebo wodę nakrywa jak czarnozielony kask.  
Bryzgiem wspina się morze, dnem rozpęka się morze,  
grzbietami w przepaść waląc, grzbietami w ziemię na płask.**

**Swiszczącym batem wichru zwaly pędzone do brzegów  
białymi kłami gryzą pobladłe piaszczyska wydm.  
Chwila — a ziemię wyrwa z pomiędzy gwiezdnych szeregów,  
przerawszy na horyzoncie pas fioletowych widm.**

stambuchu, który wzrastać już zaczął w czasie podróży księcia do Włoch, a potem w swej bogatej okładce zgromadził próbki wielu wybitnych talentów. Tak samo się rzecz miała z czterema tekami szkiców, z których to tek tylko jedna, zawierająca 102 olejne, piórkowe, kredkowe i węglowe szkice i obrazki najrozmaitszej wartości — zachowała się do naszych czasów.

Szczytowymi jednak dziełami augsburskich mistrzów, z wyraźnym zamówienia — wykonane zresztą pod osobistym nadzorem — Hainhofera, to: słynne „Gospodarstwo“ i może jeszcze popularniejsza „Szkatuła“. Przy ich komponowaniu rozwinęła się w pełni pasja drobiazgowo-skrzętna, ale nie wychodząca jednak z ram dobrego smaku i kultury artystycznej wielkiego mecenasa. Szkatuła ta nie była wprawdzie unikatem owej epoki, gdyż w Augsburgu samym wykonano wiele podobnych arcydzieł — ale z trzech przechowanych do naszych czasów (jedna w Florencji, w pałacu Pitti, druga — w Upsali) — pomorska była bezsprzecznie najpiękniejsza. Ze skromnego sekretarzyka — którym miał być początkowo ów cudowny przedmiot — przy planowaniu, komponowaniu, składaniu szczegółów wyrósł w ciągu siedmiu lat żmudnej pracy okazały „majsterszyk“ sztuki snycerskiej, malarskiej, złotniczej, meblarskiej — wszystko bowiem mieści się w tym bukietcie sztuk pięknych, dającym plastyczną encyklopedię obyczajów epoki. Przez siedem lat książę Filip szturmował swego przyjaciela listami o przyspieszenie roboty, przez siedem lat jednak czekać musiał cierpliwie i — dosyłać potrzebne kwoty (20.000 florenów kosztowało zamówienie), a zadawała się tylko wiadomościami, że dzieło rośnie i nowe szczegóły przybývają.

Aż w końcu moment oczekiwany nastąpił: w roku 1617 zjawnia się sam Hainhofer na dworze szczecińskim. Książę Filip, który już rozbudował zamek — i całe nowe skrzydło wyłącznie na zbiory, galerię i bibliotekę przeznaczył — przygotował królewskie przyjęcie dla swojego przyjaciela, wiozącego mu w dodatku rzecz tak długo oczekiwaną, mającą się stać najcenniejszym skarbem jego zbiorów. Przez 5 dni sam Hainhofer przy pomocy zdolnego augsburskiego meblarza składał i montował szkatułę. Na uroczystość oddania arcydzieła sproszono wiele gości, dwór wystąpił „in corpore“ w wielkiej gali i z namaszczeniem zdjęto na oczach niecierpliwych widzów bogaty futerał z kordobańskiej skóry, złotem okuty — i całym blaskiem misternej roboty, drogocennych kamieni i srebra na tle hebanowym podstawowego materiału — zajaśniało barokowe arcydzieło. Jeśli chcemy sobie wyobrazić trochę jego wygląd pomyślmy o kształcie ogromnej szkatuły, otwieranej jak szafka bokami, o trzech kondygnacjach, zakończonej u szczytu grupą w srebrze pozłacaną a wyobrażającą Parnas z Pallas Atene, Kalliope i Pegazem. Misterne figurki ozdabiają rogi dwu kondygnacji. Ściany boczne bogato inkrustowane srebrem, kością słoniową i szlachetnymi kamieniami, — całość oparta na czterech gryfach, dzierżących w łapach tarcze herbowe. Wnętrze: niewyczerpany skarb niespodzianek i cudowności. W niezliczonych szufladach spoczywają przybory, narzędzia toaletowe, pisarskie, stołowe, rozrywkowe, służące do pomiarów, nauki, pracy ręcznej, lecnictwa. książki oprawne w safian i pergamin, obrazki, miniatury, rzeźby, szachy (arcydzieła z kości słoniowej) zegar wreszcie, a wszystko rozłożone i pochowane w tak tajemniczych skrytkach, że gdyby Hainhofer nie napisał był przewodnika po owym labiryncie, niktby się w nim nie rozeznał. Było więc co podziwiać, a księżna Zofia ufundowała książkę w safian oprawna, dla spisys-

wania nazwisk tych wszystkich, którzy dostąpili szczęścia oglądania z bliska arcydzieła...

Odsłonięto i „gospodarstwo“, które nie było niczym innym, jak kosztownie wykonanym modelem domu i podwórza gospodarczego wraz z figurkami ludzi i zwierząt. Nie dochowało się niestety naszych czasów zresztą wydaje się raczej misterną zabawką, bez większych walorów artystycznych.

Książę Filip przez czas dłuższy zatrzymał dostojnego gościa na swym dworze, pokazując mu wszystko, co godnym widzenia było tu i w okolicy, a przede wszystkim — swój nowo wystawiony zameczek pod Szczecinem (mający także zbiorom jego służyć), bibliotekę i galerię w Szczecinie, która odznaczała się zresztą mało wartościową oryginalnością: obrazami jednakowych wymiarów. Hojnie obdarowany mecenas wyjechał z Pomorza, nie zrywając dalszych miłych — i intratnych więzów...

Moglibyśmy tutaj cały szereg nowych arcydzieł wymienić, powstanie swe zachwycających mecenasowi na książęcym stolcu. Nie sposób jednak o każdym z nich zdawać sprawę. Wspomnijmy więc na koniec tej relacji o dwu chociaż dziełach, może szczególnie na uwagę zasługujących: o srebrnym ołtarzu, klejnocie sztuki Zachodniego Pomorza — i o mapie ozdobnej obszarów pomorskiego księstwa.

Niejakim Jan Korver, nadworny złotnik szczeciński rozpoczął był — na zamówienie Filipa, według sztychów Goltiusa Hendrika — pracę, wykonując misternie w srebrze szereg tablic. Po jego śmierci nie od razu mógł Filip znaleźć kontynuatora tej pracy, aż znowu oczywiście Hainhofer wybawia go z kłopotu — i rusza robota dalszych tablic w Augsburgu, u Krz. Zenkera. Spod jego ręki wychodzi najpiękniejszy z reliefów ołtarza „Niebiański koncert“, poemat lekkości, harmonii i jednolitości stylu. Śmierć Zenkera po raz wtóry hamuje roboty, aż w końcu Voss i inni mistrze augsburscy wykończają resztę tablic około 1617 r. Książę nie zdążył ich już w jedną całość zebrać, wkrótce życie zakończył. Dokonała tego dopiero księżna Elżbieta, gdy po śmierci swego męża Bogusława XIV powróciwszy do Derłowa przemysłliwa zaczęła nad upiększeniem kaplicy zamkowej. Zebrała wówczas 24 tablice i hebanowy tryptyk kazala wprawić, że pełnym blaskiem zajaśniało piękno reliefów, podziwiano i opisywano je szeroko, ten najcenniejszy skarb sztuki Pomorza. W kościele Mariackim ołtarz przetrwał wszystkie burze wojny — ale w ostatniej zaginął. Drewniana oprawa pozostała i znajduje się w kościółku ewangelickim w pobliżu Sławna, wywieziona tam przez Niemców przed bombardowaniem wybrzeża. Tablice wyjęto i przechowano osobno, w safie banku w Sławnie; stąd też w czasie działań wojennych zniknęły.

„Mapę Lubinowską“ zamówił Filip II u profesora uniwersyteu w Rostocku Eilharda Lubinusa, jako część składową swego atlasu geograficznego. I z tego dzieła, zakrojonego początkowo bardzo skromnie wyszła bogato ilustrowana i zdobiona wszechstronna mapa całego Pomorza, z drzewem genealogicznym rodu książąt pomorskich, z portretami najszlachetniejszych ich przedstawicieli, obramowana winiętą przez malarza Hansa Wolfarta. Obrazki te są nie tylko najdawniejszymi, ale niejednokrotnie i jedynymi wyobrażeniami grodów i zamków pomorskich owej epoki. Całość składająca się z 12 arkuszy została przez niejakiego Mikolaja Geilkirka w Amsterdamie w międzyczasy wyryta i tylko kilka egzemplarzy z pierwszej odbitki zachowało się do naszych czasów. Filip nie dożył ukazania się pierwszej odbitki, umarł na parę miesięcy przed tym.



LUDWIK TYROWICZ  
Ex libris

Roman Sudowski

## HORYZONTY

Dwa mam przed sobą horyzonty —  
smugi zamknięte cieniem lasu,  
które los w oczy me zaplał  
symbolem przechodzących czasów.

Gdy ku jednemu krokiem zmierzam,  
o krok oddała się ode mnie  
i nowe drzew buduje wieże  
i jeszcze smutniej jest i ciemniej...

A gdy kieruję ku drugiemu —  
marszczy się chmurne czoło nieba  
i błękit w rzęs zamyka cieniu,  
bym dalej pragnął... I tak trzeba...

Nienasyceni i pragnący  
i ciągle niezaspokojeni  
nie ujrzą nigdy światła słońca,  
lecz słońcu sens dadzą na ziemi.

## MATKA

Takbym chciała malenki, błękitny,  
w oczka twoje wlać wiecznej pogody,  
byś daleki był — w promyk owity —  
od płynącej na chmurce przygody.

Takbym chciała, malenki, w twej wiosnie  
zdjąć z wieczoru złą gwiazdkę, co mruka,  
aby nigdy — jak kiedyś dorosisz —  
włoski twoje nie bladły w jej smugach.

Takbym chciała malenki, kochany,  
z okna szybkę na świat ci otworzyć,  
żebyś wiatrem był wolnym owiany,  
byś na wolnym wietrze rączki złożył.

Spij malenki, białym smyczkiem echa  
niesie cisza, samotna ogromnie,  
a ty tylko się słodko uśmiechasz —  
do aniolka, do światła czy — do mnie...

Z przygotowanego do druku zbioru poety  
pt. „Na krawędzi“.







## 1. „HOMER I ORCHIDEA”

Koniec minionego roku zaznaczył się na Wybrzeżu ofensywą teatralną. Wielkim wydarzeniem stała się tu przede wszystkim inauguracja pracy Teatru Miejskiego „Wybrzeże” w Gdyni pod dyrekcją Iwo Galla. Przedstawieniem otwierającym sezon była prapremiera nagrodzonej pierwszą nagrodą na konkursie w Krakowie poetyckiej sztuki Tadeusza Gaycy-Topornickiego pt. „Homer i Orchidea”. Gaycy, redaktor konspiracyjnej „Sztuki i Narodu”, nieprzeciętnej miary młody poeta, zginał w Powstaniu Warszawskim, pozostawiając poza innymi utworami ten piękny dramat o Homerze i jego legendarnej ukochanej.

Na prostych, młodych ludzi spada z całą siłą cierpienie i niechęć ludzka, skazując na wygnanie i ślepotę. Świadomie przyjęte, prowadzą ich one jednak ku wewnętrznej sile i głębi. Oto krótka treść sztuki: dojrzewanie przez cierpienie... Dramat rozgrywa się w samej głębi serc, w nieustannej walce z zniechęceniem. Tylko wybrani są nieszczęśliwi — mówi Gaycy. Wybraństwo, dar widzenia nie przypada człowiekowi bezkarnie. Piękna, chrześcijańska koncepcja życia przegląda z tej sztuki: życie jest zadaniem do wypełnienia, tym cięższym, im się jest więcej obdarowanym. Tym więcej wymaga męstwa. Aby się nie uchylać, nie wygiwać, być dzielnym, dopełnić życia i pieśni. Na antycznym tle sztuki Gaycego przesuwa się kalderonowski cień „Księcia Niezłomnego”. Jest to tragedia, ale tragedia wybawiona.

Dramat Gaycego, w którym w czarownym poetyckim słowie wyrażają się i w sposób dojrzały równoważą nastroje żartobliwości i grozy, prozalizmu i wzniosłości, otrzymał w Gdyni niezwykle staranną oprawę plastyczną (Gall, St. Łuckiewicz) i muzyczną (Eug. Dziewulski). Inscenizacja Galla nie mogła pójść w kierunku ujęcia czysto realistycznego ani czysto koturnowego i patetycznego. Musiała wypośredkować dla przedstawienia pewną równowagę zmienną i dynamiczną, oddającą dwoistość i oscylację nastrojów, jak u Szekspira czy romantyków. Obok dekoracji przedstawiającej brzeg morski czy biesiadę u Homera oglądało się więc dekorację monumentalną z „wnętrzem świątyni Apollina” i elementy symboliczne w dekoracji końcowej, w domu ateńskim. Ujęcie plastyczne, kostiumeria, rola światła i muzyki, nowoczesnej, z dramatycznym nerwem, ale o czystej, prześwietlonej formie, wreszcie charakter gry zespołowej, starannie przemyślanej w każdym szczególe — wszystko to stało się objawieniem dla Wybrzeża. Trudne role tytułowe grali zdolny aktor Maciej Maciejewski i pełna kobiecego wdzięku, doskonale oddająca poetyckie intencje autora — Zośka Perczyńska. W reszcie zespołu równie uderzała młodość, co poważne i dojrzałe podejście do artystycznego zadania. I tu notowało się już niejedno osiągnięcie.

## 2. U IWO GALLA

Na pełny sąd o zespole aktorskim Teatru Galla pozwoliła dopiero druga premiera — „W małym domku” T. Rittnera. Ten kameralny dramat mieszczański zagrał zespół „Wybrzeża” w sposób niemal koncertowy, z rzadko spotykaną szczerością przeżycia i świeżością wyrazu. W czołowej parze E. Krasiejko i R. Kossobudzka, grające na zmianę rolę Doktorowej, ukazały przekonująco tragiczne w skutku rozbudzenie się uczucia w małym domowym kopciuszku, który poczuł się królową; M. Maciejewski zaś odtworzył z nadzwyczajną naturalnością dwie warstwy psychiczne współistniejące w osobie Doktora, małomiasteczkowej wielkości, świadomej w głębi serca swej duchowej degradacji. Naturalistyczny w swej ekspresji dramat tych dwojga wstrząsał nawet mimo przebrzmiałej miejscami problematyki samej sztuki. Ostatnie zastrzeżenie odnosi się do paralelnej pary scenicznych postaci, które mimo to bardzo subtelnie odtworzyli T. Luberadski w szczególnie trudnej roli Nauczyciela i Z. Perczyńska jako Wanda. Niemniej dobrze zaprezentowała się reszta obsady, jedynie Sędzina nie uniknęła pewnej monotonii i przesady. I w tej sztuce dekoracja i zespołowe ujęcie całości sztuki nienaganne.

Teatr Galla w wieloraki sposób ożywia kulturalne życie Wybrzeża. Wystawia „Noc św. Mikołaja” i „Bajki” dla dzieci, „Ballady, piosenki i tańce ludowe” dla młodzieży szkolnej i szerszej publiczności, „Rewię Karnawałową” dla dorosłych. Nawet przez Radio Gdańskie na falę ogólnopolską nadaje w ramach Teatru Wyobrazni słuchowiska osnute na granych przez siebie sztukach (12 stycznia nadano „Homera i Orchideę”). Wszystkie zaś inscenizacje te odznaczają się wzorowym artystycznym poziomem, podciągając automatycznie gust i wymagania odbiorców i stając się twórczą podniętą dla wszelkich podobnych poczynań artystycznych.

## 3. NA INNYCH SCENACH WYBRZEŻA.

Drugiemu gdyńskiemu, Teatrowi Marynarki Wojennej nie łatwo przychodzi rywalizować z zespołem o takiej bekompromisowej postawie artystycznej, jak Teatr Galla. Kierownik artystyczny i reżyser Teatru Marynarki, Jerzy Merunowicz, z podziwu godną ambicją i uporem, każdym przedstawieniem konsekwentnie podnosi poziom swego zespołu, z konieczności jednak będzie musiał — wydaje się — nastawić na pewien odrębny typ repertuaru, odmienny od linii programowej Teatru Galla. Druga, po atrakcyjnym „Wyroku” Pełłowskiego, premiera w teatrze Marynarki, „Szczeciński”, wesela i przyjemna sztuka o powojennej młodzieży R. Ferdinanda, wydała się bardzo szczęśliwą repertuarową pozycją. Łączy w inteligentny sposób nerw rozrywkowy i dobrej klasy humor z momentem wychowawczym. Paradoxem przedstawienia gdyńskiego było, że arcykomiczny (drukowany w „Teatrze”) pierwszy akt tej sztuki i rolami Dyrektora i Aptekarza wypadł najstabiliej, podczas gdy obfitujące w niebezpieczeństwa (moralizatorstwa i melodramatu) dalsze trzy akty rozegrane zostały nader szczęśliwie i umiejętnie przez coraz wyraźniej podciągający się zespół. Obok reżysera niewątpliwymi sukcesami tu Klara Pełłowska jako nauczycielka.

Kolejna premiera „Nieboszyk Pan Pic”, stanowiła — programowo — karambol z równocześnie granym u Galla „Małym domkiem” Rittnera. Ta ponura sztuka Peyret de Chapul, odsłania zwyrodnienia psychiki mieszczańskiej, przenoszącej chorobliwy kult własności w sferę duchowego życia i na tło stosunków rodzinnych. Zapewne, można i tu dostrzec moment wychowawczy, mówiąc nieco złośliwie, należałoby nawet ogół kobiet skierować na przedstawienia tej sztuki. Prawda to, ale jej wychowawcze działanie wydaje się dość odległe i dzięki nużącemu psychologizmowi sztuki nie powszechnie dostępne. Wykonanie tego mniej już zatem szczęśliwie dobranego utworu było wyrównane i trafne, zwłaszcza w rolach głównych (Wanda Jarszewska i Helena Hałacińska). Mężczyzną, wziętym między młot

TADEUSZ  
CIESLEWSKI  
(SYN)

M. BOSKA  
SWARZEWSKA

Dziękuję

ikowadło psychicznej niwelacji, w współzyciu z zachłanną matką i żoną, był w pierwszych przedstawieniach sam reżyser J. Merunowicz, który ukazał sylwetkę pełną dyskrecji, kultury i naturalności. Nowy dyrektor Teatru, Adam Haupt, zdaje się wnieść w ujęcie strony plastycznej wiele wysiłku i staranności. Brakowało tego dotąd.

Również para-teatralne widowiska, organizowane przy Teatrze Marynarki, nie zawsze stały na równym poziomie. Wieczór pt. „10 wieków piosenki francuskiej” był robotą dosyć amatorską, a w „recitalu tanecznym” młoda i obiecująca artystka Wela Lam (prowadząca przy Teatrze własny zespół baletowy), z trudem przeciwważyła swymi występami słabe opracowanie części pozatanecznej. Teatr Marynarki gra ostatnio stale na dwa zespoły, wykorzystując wolną — po scaleniu się z Marynarkami Teatru Dramatycznego — scenę soppką, a nawet odnowioną scenę tymczasowego Teatru Miejskiego w Gdańsku-Wrzeszczu.

Ten ostatni teatr stanowi płaszczyznę początku Gdańskiego Zespołu Artystycznego, który pod kierunkiem pisarki Malwiny Szczepkowskiej rozwija swój odrębny charakter popularyzacyjno-literacki. Po „Clotuni” Fredry wystawia Gdański Zespół, zawsze z prelekcją wstępna, „Antygone” Sofoklesa. W wykonaniu tego arcydzieła antycznej tragedii uderza — przy słabej ekspresji słowa poetyckiego — ciekawie ujęta rola tańca, ruchu rytmicznego, gestu. Ogólny charakter przedstawienia gdańskiego zdecydowanie odbiega od wszelkiego ujęcia współcześnie realistycznego, zmierza natomiast ku umiarowi jakiegoś prawie sakralnego stylu.

## 4. WIECZORY DAWNEJ I NOWEJ KSIĄZKI.

Malwina Szczepkowska realizuje na terenie Gdańska pewien konsekwentny plan kulturalny. Atrofię literackiej kultury Wybrzeża, brak środowiska pisarskiego i humanistycznego pragnie wyrównywać przy pomocy scenicznego opracowywania wybitnych dzieł literatury. Po przeszło stu „wieczorach dawnej poezji i prozy polskiej” (w r. 1945/46) obecnie ukazywać się będzie celniejsze utwory światowej literatury dramatycznej. Po Sofoklesie ujrzymy np. — Musseta. Przy odnowionym Teatrze Miejskim we Wrzeszczu, w którym występują oprócz Gdańskiego Zespołu Artystycznego i inne zespoły dramatyczne oraz koncertuje Filharmonia Bałtycka, doznaje nowego rozpędu i Bractwo Literackie w Gdańsku. Przy Teatrze otworzyło ono staraniem pisarki Wandy Chylickiej swą czytelną czasopism i „nowości literackich i urzęda w niej niedzielne poranki dyskusyjne. Otwarcie nowego cyklu stała się, dużą wnikliwością nacechowana prelekcja prof. Konrada Górskiego z U.M.K. w Toruniu „O istocie poezji”. Kolejno nastąpią odczyty poświęcone prądom literackim. Oprócz odczytów o teoretycznym charakterze odbywać się będą w Czytelni Bractwa również „wieczory nowej książki”, inicjowane przez Klub Literacki z Sopotu, z omawianiem nowości wydawniczych.





